

Rozmowa ze Skrzeczami: „Kilka ciosów na wątrobę”

str. 4-5

W numerze ponadto:

- ◆ Nie ma życia bez picia...
- ◆ Oddział odizolowany
- ◆ Opowiadanie J. Krzysztonia
- ◆ Erotyki T. Kwiatkowskiego
- Cugowa
- ◆ Bob Dylan wspaniały



Bokserki duet Skrzeczów: z lewej Paweł; z prawej Grzegorz
Fot.: Tadeusz Brożek

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kammena

NR 6 (751)

20 czerwca - 3 lipca 1982

CENA 10 ZŁ

● Pół roku po 13 grudnia ● Pół roku po 13 grudnia ● Pół roku po 13 grudnia ● Pół roku po 13 grudnia ● Pół roku po 13 gru

Wojsko w Ratuszu / Obywatele w osiedlach

Michał Rey



Prezydent Longin Zieliński i komisarz ppłk Stanisław Bochen.
Fot.: W. Stępień

PREZYDENTA miasta Lublina Longina Zielińskiego lubią zakłakiwać. Raz, kiedy 24 listopada 1981 roku do gabinetu weszli wojskowi, wyjęli dokumenty i powiedzieli, że są Miejską Grupą Operacyjną (w skrócie: MGO). Drugi raz, kiedy 13 grudnia gołił się w lazience, a do mieszkania wpadł sąsiad i wielkim głosem oznajmił, że wprowadzono stan wojenny.

W pierwszym przypadku prezydent poprosił oficerów do stołu i zamówił kawę. W drugim — wsiadł w samochód i pojechał do Ratusza.

Po kilku miesiącach od tamtych wydarzeń, 28 maja 1982 roku, w gabinecie prezydenckim, na tle olbrzymiego

Dokończenie na str. 3

SPOTKAŁEM się z grupą działaczy Obywatelskich Komitetów Odrodzenia Narodowego, niedawno powołanych na LSM-le, Rurach i na Starym Mieście w Lublinie. Początkowo zamierzałem przeprowadzić, jak to się zwykle mówi, dyskusję przy okrągłym stole (no, raczej prostokątnym, bo okrągłego w lokalu redakcji nie mamy...). Tak się przecież kiedyś robiło i nikt pretensji nie wnosił. Czasy jednak dziś inne, ludzie stali się skromniejsi, chcą zachować anonimowość, bo uważają, że istotne są problemy, a nie oni sami, którzy dopiero w te problemy próbują się wgryzać. Poza tym działacze OKON-ów — a ten skrót przyjmuje się już powszechnie — twierdzą, że jeszcze niewiele dokonali, a dnia nie powinno się chwalić przed zachodem słońca.

Argumenty trafiły mi do przekonania, pomyślałem zresztą, że ta anonimowość pozwoli na bardziej szczerze przedstawienie poglądów, a o to przecież chodzi przede wszystkim.

Zaczeliśmy od problemu: samorząd mieszkańców a OKON. Rywalizacja, kłótnia czy współpraca?

Marek Adam Jaworski

O kłótniach trudno mówić, skoro niektórzy spośród działaczy samorządów są równocześnie działaczami OKON-ów. Pod tym względem najlepiej jest na Rurach, gdzie przewodniczący Komitetu Obwodowego Samorządu Mieszkańców pełni równocześnie funkcję członka prezydium OKON-u. Nie oznacza to jednak, że wszędzie już panuje idylla. OKON ma lepszą siłę przebicia, łatwiejsze kontakty z władzą, konkretnie z Urzędem Miasta i prędzej może „coś załatwić”. Słyszę: „My mamy więcej uporu i nie dajemy się wpuszczać w maliny. Jednocześnie nie chcemy dzielić naszych działaczy, nie rozmawiamy w zasadzie na tematy polityczne. Chodzi nam o jednoczenie, a nie dzielenie społeczeństwa. Ważne są konkretne sprawy osiedla, dzielniccy, ludzi. A ich zaufanie możemy zdobyć tylko poprzez działanie”.

Poprzez działanie, fakt, ale rań piętrzy się sporo...

Ob. Władysław S. w latach pięćdziesiątych dostał mieszkanie. Był bardzo cenionym pracownikiem, wprowadzano

Dokończenie na str. 2

Wojsko w Ratuszu

Dokończenie ze str. 1

plótka z panoramą Lublina dedykowanego generałowi Zajączkowi w 1826 roku, komisarz wręcza prezydentowi „Sprawozdanie z działalności Pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju i Wojskowych Grup Operacyjnych za okres 24.11.1981 r. — 20.05.1982 r.” Precyzyjniej, wersję sprawozdania przeznaczoną dla władz miejskich, w której ciału stanowią zalecenia i wnioski. Czy będą inne wersje i dla kogo, pytać ani wypada, ani jest sens, bo pułkownik i tak nie powie. Nieco wcześniej zakończyło się spotkanie wojskowych z kierownictwem UM, gdzie sprawozdanie odczytano i omówiono. Zastrzeżeń nikt nie wnosił. Tydzień wcześniej kilkunastu członków MGO otrzymało Odznaki Zasłużonych dla Miasta Lublina; w tym komisarz Bochen — złotą. Tak właściwie można by zamknąć okres działania w mieście grup operacyjnych, który trwał pół roku bez czterech dni, a w praktyce dłużej; musiał bowiem komisarz podać rozkaz rozpoczęcia i będące „na biegu sprawy”.

Teraz, kiedy rozmawiamy o sprawach minionego półroczia przy stoliku, herbacie i na „luzie”, wiele z nich wydaje się być może nawet komicznych, groteskowych, parę takich, iż trudno

wierzyć, że — wyszły. Ano, jak w życiu.

Pułkownik Bochen ma te pół roku usystematyzowane dniami, godzinami, liczbami interesantów, odebranych telefonów, interwencji. Po wojskowemu i jak na jednego z najlepszych w Warszawskim Okręgu Wojskowym kwatermistrzów przystało. Z notatek wynika, że osobiście rozmawiał z nim 7215 ludzi. Na piśmie wniesiono 902 sprawy dotyczące wielu problemów życia lubelskiego. Odebrał 1231 telefonów. Anonimów było mało — 14 albo 15.

W sprawozdaniu poszczególne dziedziny życia miejskiego stanowią osobne rozdziały; spróbujmy pójść tą drogą.

CO NAS BOLI, GDZIE TE LEKI I METODA „ŻÓLWIA”, czyli rzecz o służbie zdrowia i opiece społecznej

Tymi problemami zajmowała się „branżowa” grupa operacyjna, w której skład wchodził m.in. oficerowie-lekarze. Skontrolowano placówki lecznictwa otwartego i zamkniętego, domy opieki społecznej, żłobki, przedszkola i szkoły.

Po odsluszeniu rzeczy mniej ważnych, takich do zrobienia przy dobrych chęciach w ciągu kilkunastu dni oraz dających się za-

łatwić w realnej perspektywie, zostały do pilnego „potraktowania” przez władzę miejską (a i nie tylko) kwestie zaopatrzenia placówek lecznictwa w środki czystości, odczynniki, a nawet — lekarstwa. Niezbędne jest także zabezpieczenie mocy wykonańczej i materiałów remontowo-budowlanych, aby prace tego typu w placówkach lecznictwa i oświaty nie ciągnęły się latami. Grupa operacyjna postuluje tu wręcz ustalenie priorytetów. Pilnego wsparcia oczekuje działalność PKPS, czego wyraźnie dowiodły tegoroczne miesiące zimowe. Wiele osób starych i niepełnosprawnych otarło się wówczas o granicę egzystencji biologicznej, oczekując należytej im pomocy. Musi nastąpić poprawa warunków funkcjonowania Przedszkola Specjalnego Nr 11 przy ulicy Lubomelskiej (co wielokrotnie sygnalizowała już prasa lubelska). Przychodnie na Czechowice powinny natychmiast otrzymać telefony. Nie jest bowiem do pomyślenia sytuacja, kiedy podłącza się linie osobom prywatnym, uznanym za niezbędne, a pomija jednostki lecznictwa, które powinny mieć szybki kontakt „ze światem”.

Na zupełnie oddzielne potraktowanie — zdaniem pułkownika i prezydenta — zasługuje działalność ZUS, który stał się już symbolem ponizania ludzkiej godności, szargania nerwów, sobiepaństwa i arogancji.

Boom rentowo-emerytalny zaskoczył lubelski ZUS do tego stopnia, że naliczanie świadczeń ciągnęło się nawet 4-5 miesięcy, a rekompensat — ponad trzy. Petentów zbywano różnie. Raz opowiadano, że wszystkim jest winny zbój-Reagan. W taki mianowicie sposób, że zablokował dostawy części do maszyn liczących i adresujących. To znów, że się nowych ludzi do liczenia nie ... urodzi. Albo też, jak dyrektor Eugeniusz Osiniński w rozmowie z komisarzem Bochenem, metodą „żółwia”, ulubioną ponoć przez jego pracowników.

31 marca br. pułkownik wysłał do ZUS pismo zalecające poprawę i zmianę stylu pracy. Szczególnie informację i przepływ dokumentów między wydziałami, a także rzetelne informowanie petentów o postępie prac w ich sprawach. Ani odpowiedzi, ani skutku. Nadal Ratusz odwiedzały dziesiątki rencistów i emerytów dziennie.

20 kwietnia br. komisarz miasta zorganizował u dyrektora ZUS naradę z udziałem przedstawicieli władz miej-

skich i wojewódzkich. Podjęto ustalenia, m.in. zwiększające powierzchnię pracy dla ZUS. Miała nastąpić poprawa.

8 maja br. stwierdzono, że nie zrobiono dalej nic, aby ulżyć sytuacji rencistów i emerytów. Dwa dni później ppk Stanisław Bochen w raporcie do wojewody lubelskiego stwierdził, że dyrektor Osiniński utracił zdolność kierowania powierzoną mu instytucją.

Przedtem jednak komisarz odwiedził staruszek, który nie dostawał pieniędzy z ZUS od dwóch miesięcy. Otworzył portmonek, w której miał 11 złotych, i powiedział, że za te pieniądze ma razem z wnuczką przeżyć pięć dni, czyli do kolejnego terminu wypłaty emerytury. Wówczas pułkownik pożyczł mu kilkaset złotych ze swojej kieszeni. Takich interesantów, egzystujących za sprawą ZUS, na granicy głodu, przychodziło do ludzi w zielonych mundurach więcej.

WICEPREMIER DAJE WĘGIEL, KTO TRAFIA DO NOWYCH MIESZKAŃ, SKĄD BRAC — WODE, czyli proza gospodarki komunalnej

Był taki okres, że miasto Lublin znalazło się w sytuacji niewesołej, a właściwie nienajcieplejszej.

Znane kłopoty z połączeniami telefonicznymi i łącznością w ogóle, nieterminowe i symboliczne dostawy węgla sprawiły, że w wielu lubelskich mieszkaniach powiało chłodem. Głównie tych ogrzewanych piecami. Ludzie mieli kwity, że wpłacili, a węgla nie było. W dwóch składach przy Wrotkowskiej i Melgiewskiej ludzie dosłownie czekali na każdy wagon. W końcu lutego, na przykład, do pełnego pokrycia już nie potrzeb, a tylko tego, za co zapłacono, brakowało 15,5 tysiąca ton. Prezydent z komisarzem chwytali się przeróżnych możliwości, kombinacji i układów. Węgiel z Bogdanek szedł do opalania szkół, przedszkoli, ale nie na-

Obywatele w osiedlach

Dokończenie ze str. 1

go z ... orkiestrą. Dziś już jest na emeryturze i ma tylko jedno marzenie — by do jego mieszkania doprowadzono centralne ogrzewanie. Sprawa ciągnęła się jak najlepsza guma, samorząd chciał pomóc, ale stawał bezradny, bo urzędnicy zawsze wynajdywali odpowiedni przepis — czerwoną latarnię. Dopiero OKON-owi udało się zapalić zielone światło i uzyskać właściwą decyzję prezydenta miasta.

Ale z garażami na Rurach nie idzie tak łatwo. I tu nie rzecz w wybudowaniu garaży dla właścicieli ład i polonezów ale dla inwalidów drugiej i trzeciej grupy, dla których wehikuł to kwestia normalnego życia. Takich inwalidów jest jedenastu. Znalaziono plac, na którym te garaże mogłyby stać, odpowiednie pisma przy końcu ub. r. otrzymała władza w osobie ob. T., który wydanie lokalizacji wstrzymał do kwietnia br. Jednak przed kwietniem na placu obok, a kurał pod oknem inwalidki, pewien wpływowy pan otrzymał pozwolenie na budowę garażu. Zakotłowało się. Ob. T. chciał już po interwencji samorządu zatłoczyć rzecz krakowskim targiem, ale pojawił się nowy przepis: nie można budować garaży ze względu na trudności materiałowe. „A wpływowy pan nie miał żadnych tego typu trudności? My w OKON-ie tej sprawy nie popuścimy. Podobno wojewoda lub minister może podjąć decyzję. W danym wypadku chodzi o ludzi, którzy często swe najlepsze lata oddali społeczeństwu. Jakże im nie pomóc?”

Gdy mowa o garażach, rozwiązuje się worek z ludzką zachłannością. Ten nie ma samochodu, a ma garaż, który wynajmuje. Tamten urządził w garażu stolarnię, inny znów ma dwa garaże, a inny nawet trzy. Gdzie tu sprawiedliwość? Przez lata nagromadziło się sporo anomalii, OKON chciałby oczyścić

te stajnię Augiasza, ale bez poparcia Urzędu Miasta niewiele zdziała. I nie chodzi tu tylko o poparcie prezydenta, który przejawia dobrą wolę, ale o zrozumienie problemu wśród różnej maści urzędników. „Są tacy urzędnicy, a nawet kierownicy, którzy myślą, ale myślą nad tym, aby nic nie robić. Stan wojenny — słyszę gorzkie słowa — jest dla nich swoistym parasolem ochronnym...”

Garaże — garażami, ważniejsze są mieszkania, a tu już prawdziwa dżungla.

„My tych slamsów na ulicy Wapiennej nie zlikwidujemy do 2000 roku! Oto na Wapiennej mieszka pewna pani rzeczywiście w okropnych warunkach. Jej córce udaje się dostać mieszkanie na Czechowice. Matka wprowadza się do córki, ale na krótki okres. Wraca znów na Wapienną i stara się o mieszkanie dla drugiej córki. Z powodzeniem: córka otrzymuje mieszkanie na Czuby, ale ruderę sprzedaje za 200 tysięcy złotych. Nowy właściciel mieszka przez pewien czas i wreszcie zgłasza się do władz, że nie może tak wegetować. Przecież to jest błędne koło!”

„Na Wapiennej stale meldują się nowi ludzie. Ponieważ pracują często w fabrykach i umieją odpowiednio przedstawić swą tragiczną sytuację mieszkaniową, dostają mieszkania w pierwszej kolejności...”

Ewidencja ludności to problem sam w sobie. Odpowiednie księgi znajdują się w Biurze Ewidencji Ludności UM, co utrudnia kontrolę w poszczególnych dzielnicach czy osiedlach. LSM ma na przykład ewidencję członków spółdzielni, ale w gruncie rzeczy nikt w spółdzielni nie może wiedzieć, ile osób i jakich jest zameldowanych w poszczególnych mieszkaniach.

Na Rurach, przy ul. Glinianej, w M-I mieszka małżeństwo pp. N. (on pracownik FSC) z dwojgiem dzieci i babcią. Spią na podłodze. Babcia rozmawia z ludźmi. Zna mieszkania, w których jedna osoba zajmuje cztery pokoje. Wie, że w tym czy w tamtym mieszkaniu nie ma właściciela, który przebywa poza Lublinem, ale za pokój pobiera miesięcznie po 3 tysiące złotych.

3 pokoje — 9 tysięcy zł. Babcia mówi o tym. I nic. A swoją drogą przepisy często były takie, że sprzyjały różnym formom spekulacji. „Tu nie może być pobłażania. Jeśli każdy obywatel może mieć tylko jedno mieszkanie, trzeba konsekwentnie tego przestrzegać. Powołajmy specjalne brygady, czy jak to nazwiemy, i walczmy o tę sprawiedliwość społeczną...”

„A dewastacja mieszkań — ktoś dodaje — też woła o pomstę do nieba. W naszym bloku na Glinianej jest mieszkanie, w którym nawet klozet rozbił Dziecko słońca z parapetu. Kto nie umie szanować tego, co ma, powinien mieszkać w barakach!”

Kolejny problem: dary z zagranicy. OKON nie chciałby się wtrącać, ale tu też chodzi o sprawiedliwość społeczną. Są tacy, którzy otrzymują paczki z różnych źródeł — z TPD, z zakładu pracy, z Kościoła, ze szkoły. Idą przebojem, trafiają wszędzie, przedstawiając swoje poglądy zależnie od sytuacji. A z drugiej strony są też wielodzietne rodziny, mało zaradne, które nie otrzymują dosłownie nic. Cała akcja rozdzielania darów jest puszczona na żywioł. Sprawa to delikatna, ale ona też skłóca społeczeństwo.

Pojawia się sprawa dzieci, współpracownicy OKON-ów ze szkołami. Dyrektorom szkół zebrań z komitetami rodzicielskimi. Idzie to jak po grudzie. A przecież tu jest tyle do zdziałania! Wielu nauczycieli pracuje dziś od dzwonka do dzwonka, unika odpowiedzi na drażliwe pytania, a niekiedy, nie chcąc się narażać, pragnąc sobie zaskarbic

wdzięczność wszystkich rodziców (a niektórzy spośród nich mogą się kiedyś przydać...), nawet patentowanemu leniowi, nieukowi lekką ręką stawia trójcyżnę zamiast należnej dwójki.

Rozmawiamy już dwie godziny, skrętnie notuję i widzę, że działacze OKON-ów, z którymi siedzimy przy tym prostokątnym stole, są prawdziwymi zapalciecami, chcieliby ruszyć z posad tę bryłę, może nie światła, ale Lublina, z tym, że chyba, gdy mowa o posadach, traktują niekiedy to słowo w podwójnym znaczeniu. Ale jednocześnie dostrzegają, dostrzegają już teraz, pewne niebezpieczeństwa, które grożą, albo lepiej — mogą grozić temu nowemu społecznemu ruchowi. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, do OKON-ów próbują się przyklejać i tacy, którzy zawsze wszystkim gotowi klaskać. Nie czas jednak na klaskanie. Mucha nie może siedzieć na słońcu i wołać: „Ale ryczymy!” Tolerancja — tak. Jednocześnie ludzi, którzy pragną demokratycznych, mądrych przemian — tak. Wiarygodne hasła i ich rzetelna realizacja — tak. Ale nie! krzykactwo, budowanie fałszywych autorytetów, dbanie o interes wyłącznie własny, nadstawianie kłap do wpinania orderów.

Wszyscy jesteśmy zmęczeni kryzysem. Ale przecież wszyscy razem musimy ten kryzys własnymi siłami pokonać. Społecznikowska pasja, wyczerpanie na bołaczki, wzajemna pomoc potrzebne są dziś jak chyba nigdy.

Marek Adam Jaworski

6 czerwca 1982 r. zmarła przeżywszy 94 lata

Maria BEHCZYC-RUDNICKA

b. redaktor naczelny i długoletni członek kolegium redakcyjnego „Kamery”, pisarka, publicystka, wybitny krytyk teatralny.

CZEŚC JEJ PAMIĘCI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „KAMERY”

• Wspomnienia o Pani Marii zamieścimy w następnym numerze.

dawał się już do mieszkań ze względu na dużą zawartość kamienia. Zdecydowano więc, że będzie się sprzedawać w składach węgla ... podkłady kolejowe. Nie można było dopuścić do „sytuacji zimna”. Po wyczerpaniu wszelkich możliwości prezydent Zieliński zadzwonił do wicepremiera i dało to efekt w postaci doraźnych dostaw ze Śląska. Żeby zapoznać bliżej z trudną sytuacją, zaproszono do Lublina komisarzy kopalni Sosnowiec. Kryzys przełamano i stopniowo zaczęło napływać po 800—1200 ton paliwa dziennie. Te skromne porcje dzielono po 500 kilogramów dla każdego, niezależnie od tego, ile miał na kwiecie. Oczywiście wywołało to sporo niezadowolonych, ale innej rady nie było. W marcu było już po kłopotach, w czym również zasługa pogody.

— Mieliliśmy w tym „węglowym młyńcu” jeden cel najważniejszy: zapewnić opał przede wszystkim osobom starszym i chorym — powie pułkownik.

Problem mieszkaniowy dominował nad innymi od samego początku działania grupy operacyjnej. Przyjęto 3,5 tysiąca interesantów, wpłynęło blisko 400 podań o pomoc w tragicznych (w większości przypadków) warunkach lokalowych. Tu, niestety, nawet wojsko nie mogło wiele wskórać. W „Sprawozdaniu” czytamy: „...sytuacja mieszkaniowa jest bardzo trudna, pogłębiająca się z każdym rokiem”. Jest to niestety szczerą prawdą. Podobnie jak i fakt, że uzyskanie mieszkania spółdzielczego w Lublinie przed upływem 15 roku członkostwa można będzie uznać za sukces.

W takiej sytuacji szczególnie wiele uwagi poświęcono nieprawidłowościom w gospodarowaniu materiałem mieszkaniowym. Zbyt dużo jest lokali samowolnie zajętych (500, z czego ponad dwieście w stanie wojennym). Za długo trwa odzyskiwanie mieszkań nieprawie za-

siadonych (45 ekamiali przez sztery i pół mieszkań). Zbyt duża liczba organów decyduje nadal o przydziale mieszkań. Brak priorytetu w zabezpieczeniu mieszkań dla młodych małżeństw i wychowanków domów dziecka.

Tym ostatnim sprawom komisarz Bochen poświęcił wiele miejsca podczas Plenum Komitetu Miejskiego PZPR, gdzie ostro polemizował z opinią niektórych członków Komitetu, że dzisiejsza młodzież wymaga ciężkiej ręki i nie bardzo wie, czego chce.

— Młodzież dobrze wie, czego chce, i naszą jest rzeczą, aby jej pomóc w realizacji podstawowych przynajmniej dążeń. Kto nie zdaje sobie sprawy, że tylko dialog z młodymi i wiarygodność pomocy w ich życiowym starciu jest szansą wyjścia z kryzysu społecznego i gospodarczego, robi ciężki błąd — mówił.

Z młodymi miał zresztą komisarz do czynienia również w innej, nieco mniej przyjemnej sytuacji. W grudniu ubiegłego roku kilkaset osób czekało pod sklepem przy Krochmalnej na 96 zapowiadanych kompletów mebli. Czekały dwie doby. Był komitet kolejkowy, lista. Kiedy w końcu dowiedzieli meble, pojawiła się nowa koncepcja rozdziału. Przez losowanie. Do mediacji wezwano pułkownika Bochenę. Ponieważ przekonanie którejkolwiek strony nie było możliwe, oczekujący, decyzję złożyli w ręce wojska. Komisarz zdecydował: według kolejności. I okłaski pomieszały się z gwizdami niezadowolonych. Było i tak.

KARTKI, ZGNILE ZIEMNIAKI, SPRZEDAŻ SPOD LADY, czyli słowo o handlu i usługach

W tej materii wykiwać pułkownika Bochenę i grupę operacyjną było wyjątkowo trudno. A próbowano...

W dwóch sklepach na Czechowie handlowano zgnilymi kartoflami, mawiając, że są dobre. Efekt był taki, że wstrzymano sprzedaż, a LSS musiała przebrać siemniaki w magazynach i sklepach.

W kilku przypadkach ujawniono gromadzenie na zapleczach atrakcyjnych towarów z zamiarem sprzedania znajomym. Wskazano lubelskim handlowcom popędliwe błędy w rozprowadzaniu towarów do punktów sprzedaży.

Wojskowi znaleźli również, jak się wyjawia, receptę na poprawę jakości pieczywa. Po analizie pracy lubelskich piekarzy doszli do wniosku, że powinny zostać jak najszybciej wyłączone z gestii LSS i WSS, a utworzone nowe przedsiębiorstwo piekarnicze. Ujednolicenia wymagają także stosowane w piekarniach gatunki mąki. Jest ich obecnie siedem. Usprawnienia wymaga również transport pieczywa do sklepów.

Nie szczędzono zainteresowania lubelskiej gastronomii. Lokale, zwłaszcza ajencyjne i prywatne, wymagają częstszych kontroli. W wielu zakładach niesprawne lub źle konserwowane są urządzenia i maszyny służące do produkcji lub ochrony żywności.

To wszystko wymaga pilnej poprawy na lepsze.

WNIOSKI I CO DALEJ?

Materiały zebrane podczas półrocznej pracy grup operacyjnych posłużyły pułkownikowi Bochenowi do sformułowania dziesięciu wniosków ogólnych, których realizacja powinna usprawnić funkcjonowanie organizmu miejskiego. Do najciekawszych należy niewątpliwie pierwszy z nich, o pilnej potrzebie podporządkowania przedsiębiorstw remontowo-budowlanych działających na terenie miasta... prezydentowi. Z pozoru oczywistość. Praktyka była jednak dotąd taka, że firmy te podlegały wojewodzie. Nie bardzo do dziś wiadomo, dlaczego?

Zbyt często stwierdzali wojskowi przypadki ingerencji organów administracji wyższej instancji w pracę jednostek UM. Zgodnie z wnioskiem nr 3 (a i przepisami), działalność powinna ograniczyć się do nadzoru służbowego, nie zaś „wyręczania” w decydowaniu.

Pięty wniosek postuluje stworzenie godnych warunków pracy lubelskiego USC. W szczególności do zwierzania ślubów w warunkach odpowiadających randze i znaczeniu chwili.

Następny wniosek dotyczy konieczności „odchudzenia” wielu gabinetów kierowniczych o pełne segmenty meblowe, kosztowne dywany, boazerie itd. Trzeba przypomnieć dyrektorom, że czasy mamy już nie te, co dwa lata temu.

Ponadto zaleca się podniesienie gospodarczości w zakładach, instytucjach i przedsiębiorstwach (m. in. przez prowadzenie konkursu na wzór i podobieństwo „Wojskowego Mistrza Gospodarczości”).

Równie ciekawa wydaje się idea indywidualnej opieki dużych zakładów pracy nad miejskimi ślubkami i przedszkolami.

Omawianie oficjalnych dokumentów pokontrolnych ma też wadę, że trudno uczynić z nich pasjonującą lekturę. Może więc miast cytowania i omawiania, pewne stwierdzenia biorących udział w rozmowie.

Prezydent Zieliński utrzymuje że obecność wojskowych bardzo mu pomogła. W tym mianowicie, że usprawniła pracę UM i zwiększyła wrażliwość pracowników na problemy i troski ludzkie. Pomogła też „przepchnąć” wiele spraw na wyższy szczebel decyzyjny, ku pożytkowi miasta zresztą.

Komisarz Bochen twierdzi, że praca na odcinku cywilnym dała mu sporo satysfakcji, bo przybliżyła go do spraw społeczeństwa „cywilnego”. Żywi też nadzieję, że nikt nie był kontaktami z grupami operacyjnymi rozczarowany, czy zawiedziony.

Obaj do spółki wspominają zaś przegodę z początku stycznia, kiedy w sekretariacie prezydenta młoda kobieta z Warszawy „zagroziła” urodzeniem dziecka, jeśli nie otrzyma zgody na zakup benzyny do Poloneza na powrót do stolicy. Prezydent i komisarz zażartowali wówczas, że idą myć ręce, żeby odbierać poród. Ale benzynę dali...

Ważne żeśmy się dogadywali — mówi. — Ocena nie jest naszą sprawą.

Michał Rey

Nie ma życia bez picia...

Tadeusz Graba

NIE ma życia bez picia wody o czym wszyscy dobrze wiedzą. Tymczasem w Polsce wody jest mało, a będzie jeszcze mniej, co także nie jest żadną tajemnicą, przynajmniej od czasów, kiedy ogłoszono „program Wisła”, szeroko propagowany przez prasę codzienną, periodyczną oraz w radio i telewizji. Dowiedzieliśmy się wtedy, że wielka inwestycja, obejmująca m.in. wybudowanie 28 stopni wodnych na długości 1000 km oraz 18 dużych zbiorników wielozadaniowych i kilkuset mniejszych, przybliży moment pełnego zaspokojenia wiadomych potrzeb ludzi, przemysłu i rolnictwa. Dziś wiemy ponadto, że zrealizowanie przedsięwzięcia należy odłożyć na lepsze czasy, redukując np. program o połowę. Trudno się zresztą bawić w prorocтва, skoro stoi się na gruncie grząskim w ogóle.

Tymczasem sprawa wygląda w ten sposób, że pod względem zasobów wodnych Polska znajduje się na jednym z ostatnich miejsc w Europie, na pewno lokując się na samym dole odpowiedniej listy krajów RWPG. A potrzeby mamy coraz większe: w 1970 roku szacowano je na 9 mld. m sześciennych, by ustalić niedawno, że za osiem lat sięgną one 30 mld. Dodajmy, że w 1969 r. zabrakło nam 0,5 mld. m, a w 1990 r. deficyt ten określi liczba 5 mld. m sześciennych wody, jeśli nie wyższa.

Ludzie, którym nie brakuje wody w łazienkach i kuchniach, którzy wybrawszy się na urlop przeklinają lipcowe deszcze, mogą powątpiewać w podaną statystykę. Owszem, coś w tym jest, albowiem faktycznie niebo obdarza nas wilgocią znacznie szcudrzej, niż na przykład Saharę. Ale problem zaczyna się na ziemi, gdzie jakoś nie potrafimy racjonalnie magazynować owych darów, zatrzymując zaledwie 5 proc. tego, co płynie w polskich rzekach. Deszcze po prostu spływają do Bałtyku, choć powinny poić nas i gospodarkę. Trzeba przy tym wiedzieć, że 60-70 proc. gleb w kraju to ziemie lekkie, szybko i głęboko wciągające wody opadowe. Praktycznie po kilku godzinach deszczówka jest nieprzydatna dla rolnictwa.

Bez wody nie będzie żywności. Na wyprodukowanie tylko 1 kg siana (pasze) potrzeba minimum 600 l wody, co w przypadku naszego regionu oznacza konieczność sztucznego nawadniania łąk. Roczne opady nie przekraczają tutaj średnio 550 l, z czego część odpływa bezproduktywnie lub paruje. Bez właściwego wsparcia ze strony człowieka niektóre rośliny uprawne, w pewnych okresach szczególnie żłakniste wody, dają plony o połowę niższe (np. gryka).

Czy można złagodzić ten problem już teraz, w obecnej sytuacji kraju, odsyłającej wielkie inwestycje hydrologiczne w mglistą przyszłość?

Naukowcy twierdzą, że sprawa nie wyglądałaby tak kiepsko, gdyby melioracje, pochłaniające zresztą setki milionów złotych, przeprowadzono u nas ze znajomością tych mechanizmów, które rządzą przyrodą. Tymczasem, jak to niegdyś obrazowo określił Tadeusz Orlik z lubelskiej Akademii Rolniczej, „każdy cymbał może wykopać rów i odprowadzić nadmiar wody, nie zastanawiając się, co stanie się z tym gruntem za lat pięć”.

Melioracje w Polsce polegają w zasadzie na odwadnianiu terenu, są jednokierunkowe, choć powinny łączyć się procesem odwrotnym. Bywa też, że mądre projekty hydrotechniczne w rolnictwie są błędnie realizowane, czego przykładem jest kanał Wieprz-Krzna.

Niedawno głośna była sprawa niewłaściwych prac melioracyjnych na Krowim Bagnie w woj. chełmskim. Ten wielki kompleks torfowiskowy, na wschodzie łączący się bezpośrednio z Durym Bagnem — rezerwatem przyrody, po zakończeniu planowanych robót pokryje się bujnymi łąkami, tak pożądanymi przez rolnictwo, aby po pięciu latach, jak twierdzą biolodzy, zamienił się jednak w piaszczystą pustynię, która może zaanektować sąsiednie obszary.

Przyroda równowagą stoi. Wody podziemne z jednej strony, a jeziora, stawy, rzeczki i strumienie z drugiej tworzą coś w rodzaju systemu naczyń połączonych: interwencja człowieka na jednym poziomie tego układu nieuchronnie odbija się na drugim. Świadomość tego faktu nie powinna opuszczać nikogo, kto w celach użytkowych wchodzi na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie.

Jest lato, wielu z nas kąpie się w Piasecznie, Białym, Zagłęboczu, Krasnem, Białce i innych jeziorach tego obszaru, z zadowoleniem konstatując czystość i przejrzystość wody, w niewielkich zbiornikach sięgających 12 metrów. Znacznie skromniejsza grupa osób wie, że te wspaniałe jeziora liczą sobie około 11 tys. lat. Od wędkarzy dowiedzieć się można poza tym, że ryb w nich niewiele, ale wśród pływających tam gatunków przeważają szlachetne: sieja czy sielawa. Znajomość pełnej prawdy o Pojezierzu należy przeciwieństwo do naukowców, którzy z dziećmi zachwytem i godzinami potrafią rozwozić się nad urodą endemitów, czyli gatunków biologicznych żyjących tylko na tym terenie, w żadnym innym miejscu świata. Kiedy zaś mówią, że okrzemka *cestronella* Rostafinski nie pojawia się ostatnio w jeziorach, to proste

stwierdzenie dźwięczy w ich ustach jak patetyczny nekrolog. Dodajmy, że uwagę nauki Pojezierze zwróciło już w roku 1919, kiedy to w Piasecznie zatrzymał się prof. Alfred Lityński, „jeden z ojców hydrobiologii światowej”, by sprogować następnie pierwszy fachowy opis jeziora, które wtedy szczerze otaczał las sosnowy. Przedmiotem metodycznej penetracji stało się jednak Pojezierze dopiero od roku 1953, za sprawą Gabriela Brzęka oraz Tadeusza Wilgata z UMCS. Kolejne badania, prowadzone do chwili obecnej, przyniosły w miarę pełny, hydrochemiczny i biologiczny, obraz kilkudziesięciu jezior, w czym zasługa m.in. Dominika Fijałkowskiego z UMCS, Czesława Kowalczyka, Stanisława Radwana i Iwo Wojciechowskiego z Akademii Rolniczej w Lublinie.

Na czym więc, krótko mówiąc, polega wartość Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, dyktująca rozumne i delikatne traktowanie tego kompleksu przez człowieka?

Po pierwsze: jest to obszar unikalny pod względem przyrodniczym; w Polsce nie ma już biocenoz (zespołów organizmów zwierzęcych i roślinnych) wodnych tak bliskich pierwotnego stanu, co ze zrozumiałych względów uważa się za szczególnie atrakcyjne i ważne dla nauki.

Po drugie: dla makroregionu lubelskiego Pojezierze stanowi jedyny w swoim rodzaju teren rekreacyjny.

Po trzecie: w płytszych jeziorach świetnie rozwijają się różne gatunki ryb, co dla naszego skromnego stołu nie jest chyba sprawą bagatelną.

Po czwarte: czyste i głębokie jeziora stanowią ogromne rezerwuary wody pitnej, na której nadmiar Polska wschodnia narzekać nie może.

Są to wystarczające powody, by Pojezierze chronić jak autentyczne bogactwo wielu kolejnych pokoleń. Przed czym?

● Przed rutynową melioracją, która obniżając lustra wód, może powodować, jak wspomniano, stopniowe torfowisko oraz niszczyć strefy przybrzeżne, porośnięte, zbiorników, będąc miejscem tarła i wylęgu ryb.

● Przed nadmiernym nawożeniem mineralnym okolicznych gruntów rolnych, albowiem większa część takich łatwo rozpuszczalnych nawozów zostaje wypłukana deszczami właśnie do jezior, co jest szczególnie niebezpieczne dla ryb w zbiornikach mniejszych, położonych wśród pól i łąk, a stanowiących niemal 60 proc. wód Pojezierza i wyjątkowo żyznych biologicznie, sprzyjających rozwojowi np. karpia i leszcza, które giną jednak w momencie gwałtownego rozrostu pewnych glonów (sinic) pod wpływem owego „sztucznego nawożenia”, albowiem vegetacja tych roślin, „zakwitających” na powierzchni ładnym zielonkawo-niebieskim nalotem, fatalnie pogarsza warunki tlenowe środowiska.

Dokończenie na str. 9

Dla kogo pisane?

Zygmunt Mikulski

CZASOPISMA leżą. Nie tylko w kioskach, ale i w opinii czytelniczej. Ze nie wszystkie, nie obala spostrzeżenia; czuje się, że te idące wiodą żywot zastępczy i doraźny. Nie ma czytelnictwa, jest kupowanie poszczególnych numerów. „Jeszcze ten jeden, jeszcze raz te dzieści, dwadzieścia złotych, później się zobaczy”.

Można powiedzieć: a cóż to nas obchodzi? Niech się martwią redakcje; nawet jeszcze mniej — dziennikarze; znaleźli się w sytuacji producenta towaru, na który nie ma popytu; czy z tego powodu ma źle poczucie klient? I cała sprawa zamknęłaby się w obrębie poszczególnych zespołów redakcyjnych, które niech w sobie tłamszą tę gorączkę, niech szukają „uliczki”, jak piłkarz obskoczony przez zawodników drużyny przeciwnej, gdyby nie to, że jest tu również problem społeczny. Pole dla socjologa. Co miałybyście takiego się stało, że raptem jest tyle rezerwy do zajęcia kiedyś praktykowanego przecież dość powszechnie? Co zraża czytelników? Sama zwykła cena czasopism? Nie wyskoczyła ona poza skalę ogólnorynkową, a zaoszczędzenie kilkudziesięciu złotych na prasie ukazującej się rzadziej, niż co dzień nie ma sily wpłynąć na tym większą dyspozycyjność w sprawie kupna jajka, kielbasy i zótego sera. Więc może tematyka? Czasopisma poruszają sprawy nie za bardzo obchodzące społeczeństwo i przez to ta odmowa partnerstwa, ukłon, ale i pożegnania, jak w kontredansie? Z tematyką bywało i gorzej, a pisma szły. Mowa tu nie o prenumeracie zlecanej, czy narzuconej, ta rzeczywistość istniała tylko dla statystyk, ale skłonność do popatrzenia na sprawy kraju przez szpalty — owszem, nie bez poprawki na ich stopień przydatności jako instrumentu obserwacji — istniała zawsze. Coś wyskoczyło teraz. Wydaje się, że to po stronie czytelników jest do zanotowania objaw myślenia magicznego: oczekuje się artykułu, po którym znikną w sklepach kolejki. Dopóki takiego nie ma, między czytelnikiem a prasą istnieje stosunek ozięble dyplomatyczny.

Czy może zanik zainteresowania dla słowa drukowanego? Dla słowa w ogóle? Inter arma silent musae, a pod presją kryzysu wszystko, co nie jest dostawą kartofli, doznaje degradacji jako snobistyczny i niezyciowy luksus? A „my realisci” nie dajmy się nabrać na intelektualne zabawki dobre na swoim miejscu, tj. miejscu znajdującym się daleko za zaspokojeniem potrzeb elementarnych? Możliwe, ale to może wywołać socjolog, bo sprawa dotyczy nie tylko okresowego spadku czytelnictwa, lecz w ogóle kwestii, czy na przedprożu dwudziestego pierwszego wieku nie zaczynają zawodzić za nadto już konwencjonalne środki komunikowania, jak np. norwidowska „olowiana litera”. Z tym, że nie bardzo widać, by statystyczny właściciel M-iliuś tam, czy starszy referent w grupie uposażenia jakiejś tam, tak bardzo był podany ku czasom, które wieszczą futurolozdy. Ze właśnie w nim rysuje się zaczątek tej bliskiej już przyszłości wiecznej kultury. A przecież on jest zasadniczym konsumentem czytelniczego rynku. Więc może dajmy na razie spokój rozważaniom aż tak perspektywicznym.

Albo: „Panowie publicyści, źle piszecie. Dlatego zamiast wydać dwadzieścia złotych na numer tygodnika, wolę kupić trzy fajki. Przynajmniej kura, co do niej należy, robi dobrze”. Czy tak? To prostować, wytykać, brać na kiel. Tymczasem jak pisarzy sprowadzono z chmur, odbierając im dyplomy „inżynierów dusz”, tak wszystko, co czasopiśmiennicze, pozostaje dalej nietykalne. Przecież nie za sprawą redaktorów. Pismo jest zjawis-

kiem społecznym, nie instytucją, w której dziennikarze skubią budżet kraju na zasadzie szczególnego uprzywilejowania. Stan, jaki się wytworzył na rynku czytelniczym, ma znamiona obojętności. Na czym odciśnie ujemne piętno? Na stanie kultury, która chyba nie jest prywatną, czy cechową sprawą dziennikarzy. Pismo żyje nie tylko tym, że jest pisane. Również tym, że jest czytane. A co korzystnego się dzieje, jeśli jest dobre, ale dobre sobie a muzom? Chyba że ludziom jest obojętny los nie tylko jednego, drugiego periodyku, ale i tej istotnej więzi społecznej, jaka polega na możliwości konfrontacji poglądów.

I chyba nie w kolportażu sprawa, jakby wynikało z artykułu Marka Henzlera „Kulisy kolportażu” zamieszczonego w 14 numerze „Polityki”. Kolportaż jest instrumentem, który można nastawić stosownie do potrzeb, który niezależnie od tego może szwankować, ale nie on decyduje o samym istnieniu zjawiska słabego zainteresowania prasą. Wydaje się tak: za dużo w kraju ostatnio się stało, obywatel nastawiony jest na wymowę faktów, nie słów. Przywrócić walor słowa, jak wartość złotówki, to wskazanie, do którego realizacji droga prowadzi również przez obszar gospodarki. Przecież w czasopiśmiach nie kłamają, nie wiszą nad konkretem życia w sferze upiękzonej abstrakcji, na odwrót: trafiają się sformułowania tak swobodne, jakby cenzorom zaschły flamastry, a jakaś domieszka nieufności w przyjmowaniu tego, co się czyta, wciąż istnieje. W reakcji na druk daje się wyrazić: „Tak, ale...” I zastrzeżenia nie dotyczą nawet treści artykułów, odnosi się wrażenie, że samej potrzeby pisania. W związku z tym następuje coś w rodzaju eskalacji: w reakcji na zobojętnienie zwiększa się siła przebiecia określeń, chcąc zaopatować czytelnika publicystyczną brawurą. Skutek jest taki, że i te zamierzone jako bulwersujące rychno dzielą los pozostałych stając się obojętną cotygodniową porcją letniej wody. A zatem co? Do każdego numeru dołączać odblędniony granat z gazem oszołamiącym? Do tego stopnia zobojętnieliśmy na słowo? Redakcje, chcąc się ratować przed spadkiem czytelnictwa czyli wpływów finansowych — a przecież zostały objęte prawami rynku, muszą na siebie zarabiać — wykazują skłonność do ustępstwa na rzecz łatwej popularności, procesu u którego końca leży kompletna dewaluacja periodycznego druku. Bo wreszcie i ten mniej wymagający, a podobno bardziej reprezentatywny, czytelnik nie znajdzie dla siebie pozycji. Czyli manewr jest dobry na miesiąc, dwa — jako nowalijka. Jako regularna praktyka sam się skazuje na aut i kto wie, czy właśnie prasa poważna (co nie znaczy: drętwa) stanie się przedmiotem pożądania na zasadzie artykułu, którego wartość — jak wartość zdrowia — odczuwa się wtedy, kiedy go nie ma. A w ogóle strach pomyśleć o czasopiśmie, którego dominantą jest krzyżówka, kącik porad sercowych i fragment wygrzebanego na strychu, quasi-sensacyjnego powieścica.

Nadszedł czas, jeden z niewielu w historii powojennej prasy, kiedy sprawa redakcji nie jest wewnętrzną sprawą redakcji. Nie łatwiejszego, niż pismo zamknąć, o czym świadczy chociażby przykład „Kuźnicy”, „Odrodzenia”, „Pokolenia”, „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego”. Ale utrzymać pismo na poziomie zapotrzebowania — nie wystarczy decyzja administracyjna. Tu wypowiada się głos opinii publicznej. Dziennikarze przetrzymują, ewentualnie się przekwalifikują, ale tak łatwo nie pójdzie z reformą słowa. Tego drukowanego i tego czytanego.

Niniejszy felieton nie ma na celu interwencji, doping, mobilizacji. To wszystko trafi na brak sprzeciwu, bo i brak adresata. Od jednego tylko nie ma odejścia: od rzeczywistości.

Z Pawłem i Grzegorzem Skrzeczami

rozmawia Waldemar Piasecki

Kilka ciosów na wątrobę

DUET bokserów braci Pawła i Grzegorza Skrzeczów to na dobrą sprawę wszystko, z czym możemy pokazać się na światowych ringach. Mało, bo mało, ale jest z czym. Podczas majowych mistrzostw świata w Monachium Skrzeczowie wywalczyli dla Polski srebro i brąz, ulegając tylko późniejszemu championom Kubańczykowi Romero i Rosjaninowi Jakubkinowi. Dziś bokserzy warszawskiej „Gwardii”, drużynowego mistrza Polski udzielają wywiadu specjalnie dla „KAMENY”. Jest to ich pierwsze w roli medalistów obszerne interview, także jako nowo kreowanych mistrzów Polski.

— Który z was jest Paweł, a który Grzegorz?

— Paweł z lewej, Grzesiek z prawej... — informuje obecny przy rozmowie wychowawca bokserów, znakomity ongiś zawodnik, a dziś trener TADEUSZ WALASEK.

— Ile macie lat?

Paweł: Obaj urodziliśmy się w 1957 roku. Jednego dnia i w ciągu tej samej godziny, tyle tylko, że Grzesiek czterdzieści minut wcześniej.

Grzegorz: Wbrew pozorom można nas odróżnić. Nasza mama nigdy nie miała problemów. Zony również. Trener Walasek też się tego nauczył...

— Od kiedy bijecie?

P: My nie bijemy, my boksujemy... Boksujemy od 2 lutego 1974 roku, kiedy to stoczyliśmy swoje pierwsze walki, w tzw. pierwszym kroku bokserkim. Było to w Warszawie.

— Wygraliście swoje pierwsze walki?

G: Tak. Ale nawet porażki by nas nie przestraszyły.

— Porażki nie. A co mogłoby was przestraszyć? Czy bokserzy w ogóle się boją?

G: Nie powinni. Jak ktoś się boi przeciwnika, to w ogóle nie powinien

wychodzić do „pułki”. Znaczący się do ringu. Trudno mówić o innych, ale myślę, że większość bokserów nie boi się przeciwnika. My się w każdym razie nie boimy.

— A ilu mieliście do tej pory przeciwników?

P: Mam już na koncie 205 walk. Przegrałem dwadzieścia pięć. Zremisowałem dwie.

G: Wychodziłem do „pułki” 192 razy, a trzy razy sędziowie nie mogli się zdecydować.

— Jak trafiliście do boksu?

G: W 1973 roku kolega z zawodówki, który był często przezywany i wyśmiewany, postanowił zacząć treningi, żeby w razie czego móc przylać. Namówił mnie, żebym z nim chodził. Poszedłem i spodobało mi się. Dokładnie po siedemnastu dniach ja z kolei namówiłem Pawelka. No i tak to się zaczęło.

— Co na to wasi rodzice?

P: Matka nas prosiła, a właściwie nakazała, żebyśmy nigdy nie walczyli ze sobą. Innych trudności nie było. Do dziś zresztą przestrzegamy życzenia mamy i nawet ze sobą nie sparujemy.

PIEKNE oczy pani Ordynator patrz na mnie ironicznie. W tej chwili zatacam się potężnie i strzelam do niej z wymyślonego pistoletu.

— Delirka! — mówi beznamiętnym głosem i wydawczy jeszcze polecenie, aby zamknąć mnie na oddziale oraz związać w pasy, wychodzi z Izby Przyjęć.

Przebiegają mnie teraz w szpitalną piżamę i już maszeruję w towarzystwie dwóch potężnych sanitariuszy. Idziemy przez piękny, stary park. Jest wczesne czerwcowe popołudnie. Przez kołysane wiatrem liście prześwieca słońce, którego promienie igrają wesoło po trawie.

Po chwili jesteśmy na miejscu. Do dyżurki bez przerwy zaglądają pacjenci, aby zobaczyć nowego, ale jeden z sanitariuszy przegania ich, zamykając drzwi.

Po spisaniu personaliów zostają odprowadzony do malej salki, gdzie znajduje się jedno łóżko. Jeden z sanitariuszy popycha mnie, a gdy padam na łóżko, obaj zrezygnowanie przywiązują mi bandażami ręce i nogi. Po czym wychodzą.

Pozycja, w jakiej mnie zostawili, męczy bardzo. Do mojej salki zaczynają zaglądać pacjenci. Ale zachowują się z rezerwą. Po prostu boją się. Boją się salowych, którzy w razie nierespektowania regulaminu wiążą winnych w pasy.

Wreszcie zabawa ta kończy się. Drzwi do mojej celi zostają zamknięte na klamkę, a klamka zabrana. Zostają sam. Ręce mam już zupełnie sine. Zaczynam wołać salowego. Ale po pełnym czasie daję sobie spokój, widząc, że nikt mnie nie słucha. Bo kto może pomóc człowiekowi, który znajduje się w Szpitalu Psychiatrycznym i to w dodatku w pasach?

W końcu, zmęczony wypitym alkoholem i nadmiarem wrażeń, zasypiam. Budzi mnie hałas na korytarzu. Jakaś biegająca, podniesione głosy i brzęk naczyń. A więc kolacja. Ale okazuje się, że nie dla wszystkich. Ja kolacji nie dostaję. Nie zostałem jeszcze zaprowiantowany. Może to i lepiej. Bo jak można jeść kolację, gdy ma się związane ręce.

W rozdawaniu kolacji dzielnie pomaga pani Jolka, pacjentka oddziału kobiecego, a w cywilu pie-

ODDZIAŁ ODIZOLOWANY

Cezary Siemiński

G: I nigdy nie będziemy!

— Który z was jest lepszy?

G: Niech pan spyta brata.

P: Grzesiek dobrze mówi...

— Kiedy trafiliście do reprezentacji Polski i w jakich meczach?

P: Pierwszy raz boksowałem w meczu z USA w 1976 roku.

G: Ja rok później z Finlandią.

— Czy zdarzyły się w waszej karierze niezastępowane przegrane walki? Wielu dziennikarzy sportowych uważało, że skrzywdzono was w Monachium?

G: Nie podobnego. Aleksander (Jakubkin — przyp. „Kamena”) był lepszy. Walczył na strasznie luzie i zadawał zupełnie niespodziewane ciosy. Tego dnia był akurat lepszy.

P: Też nie mam żadnych zastrzeżeń do porażki z Romero.

— Trochę to dziwne, co mówicie. Zwykle chętniej widzi się nie swoją porażkę, a inne okoliczności jej „sprzyjające”, na przykład stronniczych sędziów. Czy naprawdę nigdy nie mieliście żadnych zastrzeżeń do ich werdyktów?

P: Kiedyś na Mistrzostwach Polski przegrałem jednogłośnie ze swoim kolegą. Po walce obaj byliśmy zdziwieni. Nie mówiąc o publiczności.

G: W 1980 roku w czasie meczu Polska—NRD walczyłem z Fanghaenlem i przegrałem 2:1. Mecz zakończył się dzięki temu remisem 12:12, a nie naszym zwycięstwem 14:10. Hala „Gwardii” huczała od gwizdów kilka minut.

— Pozostawimy przy sędziach. Po monachijskich mistrzostwach i w czasie ich trwania wiele mówiono o „cudach” na ringu; o stronniczości i braku kwalifikacji arbitrów, głównie z Trzeciego Świata...

P: A to już jest zupełnie inna sprawa. Takiego szowinizmu nie widziałem nigdy w życiu. Po pierwsze, tak ustawiano skład sędziowski, że jak walczył Europejczyk, to było trzech sędziów z Afryki, Azji lub Południowej Ameryki i praktycznie wiadomo było, że przegra 3:2. Nie dotyczyło to może tylko niektórych bokserów z RFN. Tak wygrał, na przykład, Cukrov. Po walce nie bardzo nawet wiedział, co jest grane, bo był przymroczonej. Reprezentacje europejskie wystosowały nawet „Apel w sprawie obrony Europy” i skierowały go do prezydenta FIBA.

— I co, pomogło?

G: Trochę pomogło, bo już przynajmniej w półfinałach i finałach nie było takich afer.

— Czy nie miałyby zatem sensu wprowadzenie Jury d'Appel, które

mogłoby uchylać decyzje arbitrów w przypadku ich rażącej niesprawiedliwości? Takie próby czyniono już w ZSRR.

P: To jest zupełnie bez sensu.

— Dlaczego?

P: To by nie zdało egzaminu. Każdą walkę by protestowano. Turnieje ciągnęłyby się w nieskończoność.

G: Wynik to jest wynik. Decyzja sędziego jest niepodważalna. Czy pan słyszał, żeby kiedyś w pilce odwołano wynik meczu, bo się pomylił sędzia? Rzecz jest w tym, żeby ci, co stają do punktowania walki, mieli o tym pojęcie. Na przykład w walce Pawła z Romero jeden sędzia dał wynik 60:55, co mogłoby sugerować, że Kubańczyk miał miażdżącą przewagę i rozosił Pawła, a tak przecież nie było.

— Czy to prawda, że w Monachium chciano was kupić do grup zawodowych?

P: Owszem, za Grzeska niemiecki menager dawał tyle, ile brat waży. Po tysiąc marek za kilogram, czyli 92 000 marek. Do tego mieszkanie i samochód. Również i mnie proponowano przejście na zawodowstwo. Nie zgodziłem się.

G: Ale to wcale nie znaczy, że byśmy nie chcieli powalczyć za granicą. Owszem, ale jako amatorzy i za zgodą pana ministra Mariana Renke. Zawodowstwo nas nie interesuje, bo chcemy powalczyć na Olimpiadzie w Los Angeles.

— Wszyscy wiemy, że problem występów na Zachodzie został uregulowany w pilce nożnej. Boniek poszedł do „Juventus” Turyn, Zmuda wybieira się do „Bayern” Monachium. Prawdopodobnie do Włoch uda się także Młynarczyk. Jak to wygląda w boksie?

P: Beznadziejnie. Dopiero, jak się skończy 28 lat i coś się dla boksu polskiego zrobiło, można się starać o zgodę. Tylko, że szczyt formy przypada u boksera na 24—25 rok życia. Potem już niestety jest „z górki”. Tak jak u piłkarza po trzydziestce.

G: Ważne jest, żeby ktoś przetrwał ślady. Tak jak Zbyszek Boniek. Była tu szansa, żeby to zrobił Heniek Srednicki, który miał nawet umowę z panem ministrem Renke, że jak zdobędzie medal w Monachium, to pojedzie. Niestety, wiemy wszyscy, że Heniek nie spełnił nadziei. Z własnej winy i głupoty zresztą.

— A może precyzyjniej? Mówiło się, że Srednicki po prostu się rozpił?

P: To nie jest dalekie od prawdy.

— Zazdrościcie piłkarzom?

G: Oczywiście, że zazdrościmy. Pan wie, ile nam płacą za złoty medal na mistrzostwach świata? Nigdy pan nie zgadnie. Dwanaście tysięcy, proszę pana. Za srebro dziesięć, a za brąz o-

siem. Niech by pan powiedział, że piłkarze, jak wygrają „Espana '82”, to dostaną po 12 tysięcy. Ciekawe, co by panu odpowiedzieli?

— Domyślam się...

P: Po 28 latach to już z nas tak soki wyciągną, że nie ma szans na kontrakt zagraniczny. A czym my się takim różnimy od piłkarzy? Czy mniej pracujemy? Czy mniej nam zależy na wyniku?

G: Przecież taki wyjazd to są dewizy dla kraju. Czy my mamy za dużo „zielonych”? Chyba liści na drzewach...

— Skoro już o zarobkach mowa, to ile macie na miesiące?

P: My akurat mamy po 15 tysięcy plus dwa tysiące za udział w kadrze narodowej. I koniec.

— Spotykacie się często z bokserami innych krajów. Jak im się powodzi?

G: Nie ma porównania. Takim, na przykład, Kubańczykom, czy Rosjanom, to się stokrotnie opłaca. Jeżdżą po świecie, zarabiają bardzo duże pieniądze. Coś z tego reprezentowania mają...

P: Nawet Murzyn w USA, jak jest dobry, to zarobi tyle, że mu wystarczy...

G: Co tam Murzyn w Ameryce. Teofilo Stevenson jest członkiem parlamentu kubańskiego.

— No dobra. Ponarzekaliśmy sobie trochę, ale jakie są wasze propozycje?

P: Puszczając zawodników za granicę, póki są w formie gwarantującej godne reprezentowanie boksu polskiego, a nie emerytów wyeksploatowanych, nie mieszczących się w kadrze. Oczywiście puszczając na godziwych warunkach transferowych, żeby korzystał PZB i sam bokser.

— W Monachium pozostali dwaj reprezentanci: Kapałka i Maczuga. Czy ich decyzja ma jakiś związek z tym, o czym mówiliśmy do tej pory?

P: Jako kapitan drużyny narodowej muszę powiedzieć, że to, co zrobili, jest niegodne sportowców. Można dyskutować o sytuacji boksu i ewentualnych transferach, ale na legalnych warunkach. Ich pozostanie jest głupotą, bo nie zdają sobie sprawy, jak ciężko jest cokolwiek na Zachodzie osiągnąć. A nie są to przecież nadzwyczajne talenty. Kapałka ma już 27 lat i... dwie lewe ręce, bo nigdy nie pracował i pewnie nie będzie. Co go tam może czekać? Już przegrał jako sportowiec, może przegrać jako człowiek. W Polsce zostawił żonę i dwoje małych dzieci.

— W Polsce coraz wyraźniej spada zainteresowanie boksem. Mało jest chętnych do uprawiania tego sportu. Dlaczego?

G: Jest za dużo wygodnictwa. Mamusia da jeść, tatuś kupi samochód. Po co się wysilać, trenować? Jeszcze

dziewczyne przyprowadzą, żeby się poprzytulać...

P: Swoją drogą przyczynili się też do tego redaktorzy, pisząc o szkodliwości boksu. Ze bokserzy to debile. Itd.

— Chcecie powiedzieć, że bokser jest korzystny dla zdrowia?

G: Wszystko zależy od wykształcenia. Na pewno jednak może nie być szkodliwy.

— Czym się interesujecie poza sportem?

P: Bardzo lubię zbierać grzyby.

G: Kino i wędkowanie.

— Czy macie kolegów, przyjaciół w innych dyscyplinach sportu?

P: Naturalnie. Choć spotykam się często z opiniami, że bokserzy to mogą się dogadywać tylko z bokserami. Przyjaźnimy się z zapaśnikiem Andrzejem Supronem, piłkarzami: Krzyszłem Budką, Grzesiem Lato, Andrzejem Szarmachem, Zbyszkiem Bonkiem.

G: Z piłkarzami spotykaliśmy się podczas zgrupowań.

— Jaki sport wybrałbyście, gdyby bokser nie wchodził w rachubę?

P: Karate. Jest to również sport walki. Bardzo podoba mi się rytuał związany z treningiem, walką. Szacunek dla trenera i przeciwnika. Czegoś takiego nie ma w innych dyscyplinach.

G: Imponuje nam bardzo Bruce Lee znakomity zawodnik-karateka aktor filmowy. To jest prawdziwa legenda. W Monachium widzieliśmy dwa filmy z jego udziałem.

— Nie mówiliśmy nic o waszej sytuacji rodzinnej?

P: Mam żonę i synka Sebastiana, który ma już 2 lata i 7 miesięcy.

G: Mam również żonę i chłopaka w wieku 2 lata i 3 miesiące. Ma na imię Rafał.

— Wasz dorobek jest już pokaźny. Brakuje w nim jeszcze tytułów mistrzowskich...

P: Tak, mam już srebrne medale: olimpijski i mistrzostw świata. Brakuje złotych. Pierwszą szansę będę miał w Los Angeles. Postaram się ją wykorzystać.

G: Mnie również interesuje złoto. Zrobię wszystko, żeby je zdobyć. Tylko, że w mojej wadze konkurencja jest cholerna.

— Powiedzieć na koniec, jakich ciosów nie lubicie najbardziej?

P: Ciosy w głowę nie są tak groźne jak w dół. One tylko oszalamiają. Natomiast uderzenia na spłot słoneczny i wątrobę bardzo poważnie osłabiają. I ich właśnie najbardziej nie lubię.

G: Kilka ciosów na wątrobę może rozstrzygnąć walkę. Nie lubię ich podobnie jak brat. I każdy chyba bokser.

— Życzyć wam zatem, abyście dostali ich jak najmniej. I na ringu i w życiu.

leżniarka z innego szpitala, która w celach „konsumpcyjnych” poddawała narkotyki. Przechodzi kurację odwykową. Potem stanie przed sądem za kradzież. Pani Jola ma cywilne ubranie i różni się od zwykłych pacjentów oddziału odizolowanego, albowiem pracuje w tutejszym gospodarstwie.

Po kolacji wizyta lekarska. Do mojej salki wkracza Pani Ordynator. Zachodzące słońce rzuca złote refleksy na jej piękny profil i lekko siwiejące skronie. Nie patrząc na mnie, pyta dyżurną pielęgniarkę, czy wszystko w porządku i wie oczekując na odpowiedź — wychodzi.

Znów zostaję sam. Manewrując jedną ręką, po pewnym czasie udaje mi się wywobodzić ze zwojów bandaży. Gdy usiłuję przedrzeć się do ubikacji, na skutek donosu współpacjentów zostaję schwytyany niezłym przestępcą i odprowadzony na miejsce. Tu dostaję w mordę od salowego, który przykuwa mnie do łóża. Na odchodnym rzuca, że jeżeli jeszcze raz złapie mnie na korytarzu, powieści mnie na jednym z wielu drzew w parku. Drzwi się zamykają, światło gaśnie i zostaję sam ze swoimi myślami.

Z oddali dochodzi cichnący zgiełk miasta, które pomalutku zaczyna układać się do snu. W parku szumią drzewa, kołysane jednostajnie wiatrem. Przyszedł czas na refleksje. Czy dobrze wzięłem decyzję na zwiedzenie tego przybytku? Co będzie dalej? Czy mnie wypuszczą? W końcu, dręczony sprzecznymi myślami — zasypiam.

Budzi mnie poranny śpiew ptaków w parku. Nie orientuję się, która godzina, ale jest już dzień. Na korytarzu słychać głosy oraz tupot gołych pięt po posadzce. Po pewnym czasie drzwi się otwierają i wchodzi salowy. Na moją prośbę odwołuje mnie i pozwala wyjść na korytarz. Jest godzina 4 rano, ale większość pacjentów już na nogach. Są to mężczyźni przeważnie w wieku średnim; sądząc z wyglądu — wywodzący się ze środowiska wiejskiego. Wszyscy boso. Pięty czarne. Niektórzy spokojni, apatyczni; inni pobudzeni, gestykulują żywo w kilkuosobowych grupkach. Dzielą się oni wszyscy na dwie grupy: tych, co mają papierosy, i tych, co ich nie mają. Jest wśród nich kilku

tw. ciężkich, ale ogólnie rzecz biorąc — nie wygląda to tak strasznie.

Na oddziale odizolowanym jest jeszcze dyżurna pielęgniarka i dwóch salowych, chłopów jak dęby. Tych, którzy mieli wczoraj dyżur, nie ma. Przyjdą tu znów dziś na noc.

Nagle wśród gromadki pacjentów pojawia się mężczyzna lat około 50-ciu, lekko przygarbiony, głowa ostrzyżona na palę, boso. Staje koło ściany i nie mówiąc, patrzy smutnym wzrokiem.

— To Stasio — mówi do mnie jeden z pacjentów, z którym już zdążyłem się zaprzyjaźnić.

Stasio to przypadek ciężki. Jest tu już od kilku lat i zanosi się na to, że pobędzie długo, kto wie, czy nie na zawsze. Nikt do niego nie przyjeżdża, pozostaje zupełnie sam. Apatyczny, nie mówi s nikim, tylko czasami wpada w dziwne podniecenie. Chodzi wówczas szybkim krokiem wokół ścian, coś do siebie mamrocząc. Ożywia się wtedy, gdy ktoś wyrzuci niedopałek papierosa. Tak też jest i teraz. Stasio czeka na peta.

Do naszej grupki podchodzi salowy. Twarz rozśmiana, tylko w oczach dziwne błyski.

— Stasiu, chcesz peta? — pyta i rzuca niedopałek na posadzkę. Stasio uradowany odrywa się od ściany, ale salowy jest szybszy. W tej samej chwili rozdeptuje peta butem. Stasio stoi przez chwilę w miejscu, po czym odwraca się i zaczyna plakać. Patrzę na jego plecy wstrząsane spazmatycznym płaczem, słyszę głośny śmiech salowego, któremu wtóruje kilku pacjentów.

Z dyżurki całą scenę obserwuje pielęgniarka. Uśmiecha się również. Ona także aprobuje „dobry” żart salowego. Po chwili salowy odchodzi za znużoną miną w poszukiwaniu dalszych wrzasków na oddziale kobiecej, który mieści się po przeciwnej stronie Pawilonu.

Zaraz godzina 7 — śniadanie. Na nasz oddział przynoszą kotły, kosze z pieczywem. Ustawiają nas w kolejkę koło okienka i zaczyna się wydawanie śniadania. Jest zupa mączna, pieczywo oraz pasztetowa. Pacjenci zaczynają tłoczyć się przy okienku, klócą się i przepychają. Gdy już prawie wszyscy zajęci są spożywaniem posiłku, nagle zaczyna się bójka. Dwóch pacjentów leje rostego dryblasa, który oparłszy się o ścianę, zastąpił rę-

kami głowę i wcale się nie broni. Rozglądam się za „dziarskim” salowym, ale nigdzie go nie ma. Dopiero po chwili widzę go, jak spokojnie je śniadanie za okienkiem w kuchni. Bójka trwa nadal. Dopiero po dłuższej chwili pacjenci zażegnują spór. Okazało się, że ów dryblas ukradł jednemu z pacjentów miszkę z zupą. Być może był głodny i porcja, którą dostają wszyscy, nie wystarczała mu. Po śniadaniu każdy udaje się na salę, gdzie pacjenci robią porządek. Ja czekam na lekarza dyżurnego, który rozstrzygnie o moim dalszym losie.

Jest godzina 9, ale lekarza jeszcze nie ma. Szukam cały czas Stasia, ale jego też nigdzie nie ma. Wreszcie pielęgniarka woła: „Ty, noty — do pana doktora!” Wchodzę do gabinetu. Za biurkiem siedzi młody mężczyzna w białym kitlu. Zaczyna się badanie. Bardzo szczegółowe. Lekarz pyta mnie, jak się nazywam, gdzie mieszkam, jaki mam dziś dzień. Na jego twarzy maluje się coraz większe zdziwienie. Jeszcze kaže mi wyciągnąć przed siebie ręce i zamknąć oczy. Słyszę, jak mówi półgłosem do siebie: „Nie drzą”. Każe mi opuścić gabinet i poczekać na korytarzu. Słyszę przez drzwi, jak z kimś rozmawia przez telefon. Po chwili wozywa mnie, oznajmiając, że jestem zwolniony. Na twarzy ten sam wyraz ni to zdziwienia, ni rozczarowania. Podpisuję kartę zwolnienia i szybko opuszczam gabinet.

Oddają mi teraz szybko ubranie, podpisuję jakieś kwity i odprowadzany zazdrośnymi spojrzeniami pacjentów, opuszczam oddział. Wychodząc, szukam wzrokiem Stasia, ale nigdzie go nie ma. Zamyka się za mną brama Szpitala Psychiatrycznego. Jest czerwcowa wolna sobota. Na ulicy ludzie spacerujący bez troski. I byłoby wszystko w porządku. Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie to, że tam, za bramą Szpitala Psychiatrycznego, pielęgniarkę pozabawił pacjenta jedynej przyjemności — jaką było wypalenie niedopałka papierosa wyrzuconego na ziemię.

Zmarł Jerzy Krzysztoń, w wieku zaledwie 31 lat. Nienależna choroba zabrała go spośród żyjących. Od chłopięcych czasów historia nie szczędziła mu zaskoczeń, prowadziła przez znaczące zakrety. Okres wojny spędził w Związku Radzieckim, Iranie, Indiach i Afryce. Do kraju wrócił w 1948 roku, mając 17 lat. Już pisze, opowiada się ideowo po stronie katolicyzmu, a równocześnie włącza się — i tak jest przez ponad trzy dziesięciolecia — w najistotniejsze dla kultury i literatury procesy. W rok po powrocie odebnuje, jako prozaik, w „Tygodniku Powszechnym”. Potem przez długie lata kieruje działem słownym. Potem przez długie lata kieruje działem słownym. Potem przez długie lata kieruje działem słownym. Niemal do ostatnich dni prowadzi radiową pocztę literacką, jest doradcą młodych.

Zaczął w r. 1953 „Opowiadaniem indyjskimi”, a dzieło jego życia uwienczyła trylogia pt. „Obłęd” („Tropiony i osaczony”, „Przywiązany do masztu” i „Księżyc nad Epidaurum”). Ostatnio został wznowiony „Wielkiad na stepie”. Gdyby Jerzy Krzysztoń w tej prozie rozpoczął swe publikacje książkowe, moglibyśmy powiedzieć, że właśnie „Wielkiad” i „Obłęd” stanowią kłamek spójną jego życia, nie tylko pisarskiego. Ponad 10 tomów prozy, w tym „Kamienne niebo”, powieść, która już w 1958 roku zwróciła uwagę Czytelników i krytyki. Sztuki teatralne, a przede wszystkim suchowiska radiowe dopełniają ten znaczący dorobek.

Jerzy Krzysztoń ukończył filologię angielską w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Echa tego okresu znajdujemy w niektórych nowelach zmarłego. Ponadto drukujemy fragmenty opowiadania „Randka”, wyjętego z tomu pt. „Złote gody”, wydanego przez „Iskry” w 1953 r. Opowiadanie to osadzone jest w rzeczywistości w Lublinie. Autor swoim czasem studentem dodał jedynie tramwaje, które pełnią tu dwukrotnie rolę rekwizytu.

MIESZKALISMY u naszej wiedźmy, wdowy po konduktorze na kolei warszawsko-wiedeńskiej, trzymała nas w nędznej kłitce, pod spadzistym sufitem, pobierając myto za panoramę: laciate dachy i krzywe kominy, całą tę stertę rupiecica, za którą bezpowrotnie zginęła Bystrzyca, niegdyś widoczna ponoć jak na dłoni („Nie moja wina, że zabudowali! — zawołała dygocząc z oburzenia — od czterdziestu lat odnajmuję studentom stancję, proszę panów, i żaden nie narzekał. Jak to nie ma Bystrzycy? Starczy pociągnąć nosem!”). Marek stał w oknie, wypytując zwalistym ciałem owalną wnękę w murze, i ni stąd, ni zowąd powiedział:

— Chciałbym ją poznać — i obrócił się do mnie szczerząc zęby. Spojrzałem na niego spość iba. [...]

— Tak, bratku. Chciałbym ją poznać. Ostatecznie jestem twoim przyjacielem.

— Wąchaj Bystrzycę.
— Dlaczegoż się srożysz, Leopoldzie?

Trafił mnie nieomylnie w śledzoną, najczulszą słabość do mojego imienia, wierutną głupotę moich rodziców i księdza, który tak mnie przeklął po bożemu, na wieki wieków — i roześmiał się widząc, jak dobrze trafił, jak czerwienieję z gniewu. Zerwałem się z połowy łoża małżeńskiego, którą wiedźma przeznaczyła dla mnie, i potrząsnąłem pięścią. Na nic było to wyrażanie, dorastałem mu ledwie do podbródka, parsknął śmiechem i poklepał mnie po ramieniu.

— Sztama, no.
— Sztama — powiedziałem czym prędzej, cofając się przed objawami jego serdeczności, można by ją ważyć na pudy. [...] Zapalił machorkowego, paskudny swąd wniessał się w kuchenne wapory, powietrze w naszej kłitce miało wonność rondla w gospodzie trzeciej kategorii, emanowało zdechłym baranem. Mrużąc oczy spoglądał na mnie przez smużkę dymu, papieros wisiał u jego warg, usmiechnął się półgębkiem.

— Jakże się wabi ten twój ideał?
— Po chrześcijańsku — odparłem.
— Ukrywasz ją jak dolary pod siennikiem. Garbata czy co?
— Idź do cholery! — Odepchnąłem go, zerwałem się z łoża i zacząłem krążyć po stęchłej kłitce. — Kiedy ta wiedźma przestanie pichcić na baranin loju!... Wezmę za kudły i spuszczę na łeb z czwartego piętra. — Szarpnąłem okno i otworzyłem je na oścież. — Ty i baranina to trochę za dużo jak na mój gust. [...]

— Nie wyobrażaj sobie, że jestem o nią zazdrosny — zaśmiał się, zdjął z wieszaka płaszcz i podał mi go z ukłonem. Wręczył mi akademicką czapkę i otworzył przede mną drzwi. Podniosłem palec do daszka. Odklonił mi się w pas.
— Bądź zdrow, Marku Stanisławie.
— Dobrodziej wraca na noc?
— Jak Bóg da, Marku Stanisławie.
— Pomyślności, panie dobrodzieju.

Zatkałem nos pomykając przez korytarz, z zębusi kuchennych buchały opary, mignęła mi ulizana wiedźma z grzebieniem wpiętym w kok i lśniące szydełko w jej obnażonej ręce, którym dziobała przyrumienioną padlinę. Czmychnąłem w dół po schodach, unikając poręczy migoczącej kropelkami loju. [...] Za bramą odetchnąłem pełną piersią i susem dopadłem tramwaju.

W parę chwil zrobiła się wokół mnie dziwna pustka na zatłoczonej platformie, pasażerowie ugnieśli się w szelne półkole. Z tłumu dobywały się osobliwe pomruki i sarkania, coś się burzyło za moimi plecami, obejrzałem się, trafiając na gburę, który mi huknął w ucho:
— Panie, co pan tak cuchniesz, jak stary tryki!
— Daj pan spokój, to student. Nie ma na mydło — ozwał się za swego gniazda konduktor.
— Won — pisnęła dama i zdieiła mi parasolkę po grzbiecie.

Przyjąłem cios z godnością. W tłumie zaległa cisza pełna skruchy, na twarzach pojawił się wyraz wstydu, szczerzy i odświętny zarazem, a więc niezwykły. Wyczułem chwilę godną wielkiej retyki. I rzekłem głosem cichym w ciszy, bo cisza

to była prawdziwie ślucha, pod melodię słukotu kół:

— Nędzny tłumie. Bijesz, a nie wiesz za co. Zyczesz, a nie wiesz po co. Z prochuś powstał...
Konduktor jął targać za dzwonek, skielbasil pasażerów i moją mowę, zanim zdolali się rozgmatwać, tramwaj przystanął. W czapce przekrzywionej na ucho, wychylony ze swojego gniazda, syknął do mnie:

— Zjeżdżaj pan, bo śmierdzisz pan.
Nie musiał mi dwa razy powtarzać, podniesione pięści i parasolka zawisły nad moją głową, dałem nura na chodnik i puściłem się pędem, gdyż pogoni już sunęła za mną, rozjuszona jak sto diabłów, pod wodzą damy z parasolką. Słyszałem jej świszczący oddech i umykałem slaniając się za zmęczenia, sił mi ubywało, a tłum za mną przybierał i przybierał, aż bałem się spojrzeć za siebie, byle się nie potknąć, bo stratuja, a nogi mi się płały, pot mnie zalewał i mieli mi już prawie pod butami, i legnę zakuty przez damskie obcasy, trwoga ścisnęła mi żołądek i tchu mi zabrakło, zatańczył przede mną koślawy napis MA KA GI GI, wywieszka w oknie sklepiku pod ogrodem, ma ka gi gi, i ostatkiem sił wskoczyłem na skrzynkę po jabłkach, uchwyliłem się sztachet, przekoziłkowałem przez plot na drugą stronę i dałem nura w krzewy. [...] Były to okolice knajpy „Pod Antkiem”. Wychyliłem w niej bombę piwa za wszystkiek pot stracony w gonitwie, po czym zamknąłem się w budce z telefonem, gdzie gwar dochodził przyjemnie stłumiony, jak z wytwornej kawiarni, a nie spelnuy żalostnej i rozpitej do dna czarnej melancholii. Gdy powitało mnie znajome halo, rzekłem w słuchawkę:

— Hanno Hananejko, miłości ma jedyna, królowo snów moich.

Randka

— Nic z tego. Dzisiaj nie mogę.
— Niezbyt świeża wiadomość. Słyszę ją od tygodnia.
— Nie dzwoń, Poldek. Bardzo cię proszę. Nie dzwoń.

— Co się stało?
— Tak będzie lepiej, Poldek.
— Dla kogo?... Halo?

Odłożyła słuchawkę. Duszno było w budce, spoiełem się. Stary Polikarp, rozkisły w tłuszczy, usmiechał się mętnie za barem. Kiteł, jaki miał na sobie, to była jedyna czysta rzecz w całej knajpie. Pchnął w moją stronę spieniony kufel, poobgryzany lichem wie przez kogo w pijackiej rozpacz. Rozpiałem kołnierzyk ze szczerą nienawiścią do idioty, który wymyślił krawat. Piwsko było ohydne. Stary Polikarp założył ręce na brzuchu i kręcił kciukami młynka, zapatrzony w plugawą ulicę za oknem. [...] Ktoś wziął mnie za lokiec. Szminka i tusz do rzęs, ohydztwo, sztuczny pieprzyk na lewym policzku.

— Groszem nie śmierdzę. O, widzi pani. — I podetknąłem jej pod nos swoją czapkę akademicką. — O.

W oczach coś bardzo dziwnego.
— Mogę panu pożyczyć. Ile?
— Nie potrzeba mi pieniędzy.
— Ode mnie, tak?

Niesmiałość eay eo, w licha. Co ta dziewczyna ma w oczach?

— Życie bez forsy. Gratis. Rozumie pani? To wstęch mi pani da spokój.

Same oczy. Czysta zielen. — Nazywam się Marta. A pan?

Odepchnąłem ją, doprawdy nie miałem zamiaru, chciałem to zrobić stanowczo i delikatnie, nie takim brutalnym gestem. Zawsze byłem grzecznym dla kobiet, tym bardziej dla kurw. Zachwiała się w dziwny sposób, czepiając się ręką bufetu, stary Polikarp chwycił ją za ramiona i podtrzymał. Myślałem, że złamała obcas. Spojrzałem na jej nogi i uciekłem do budki.

Numer nie odpowiadał, wygrzebałem z kieszeni sporta, siwy swąd stęzał w budce — rozgniotłem okurek podeszwą, można było się uwęzić. Krztusząc się ponowiłem moje dzwonięcie do bram raju. Złość mnie paliła w żołądku. Mam nienawiść do czekania.

— Czekam o siódmej. Pod Saskim Ogrodem.

I odłożyłem słuchawkę na widełki. Wycierając spocone ręce, wróciłem do swojego kufła. Dziewczyna znikła. [...] Rozejrzałem się, czy nie ma jej przy którymś stoliku; w męskim towarzystwie siedziały tylko dwie wysłużone panienci, lokal był mało intratny; mógłbyś praysiąć, że przyjmowały w bramie. [...]

— Pasaże student... Czeeeeoi pa tak markotny?

— Chryste Panie, pomyślałem, dlaczego dajesz biednym ludziom takie urągawiska zamiast twarzy. Co cię kosztuje jedna przyzwolta gęba więcej, Chryste Panie. — Po co paa... sie uczysz? Panie student... Pa mi powiedz, po co paaa się uczysz? [...]

Zapłaciłem za swoje piwo, starczyło mi jeszcze na paczkę sportów. Polikarp poglaskał się po lysinie i nachylił się do mnie.

— Marta mieszka na Zytńskiej pod szesnastym. Trzecie piętro. Prosiła panu powieścić.

[...] Zmarłem pod Saskim Ogrodem. Wieczór był melancholijny i mglisty. Chuchając w zgrabię palce, wałęsałem się z kundlem u nogi. Musiałem zaznać niezwyklej pokusy, skoro tak skwapliwie zostawił na bożej łasce swoją staruszkę. Opatulona wełnianą chustą siedziała pod kamiennym murkiem, bez ruchu jak pałuba. Kundel lasił się i ocierał o moje nogawki, merdając ogonem. Nie oszukala go woda kolońska, zwietrzył baraninę. Chodziliśmy krętym tropem gazowych latarni, cień przedrzeźniał to mnie, to kundla. Czulem stopą nawilgłe liście, w lewym trzewiku przetarła mi się sztukowana gazeta zelówka. Mgla podnosiła się cichaczem — wypiął się na nas księżyc. Kundel zawarczał szczerząc kły.

[...] W ciemnym płaszczu stała na drugiej stronie ulicy. [...] To była śliczna dziewczyna, Hanna Hananejka. Nie wiem, skąd się wzięła w naszym szpelnym mieście. Nigdy jej o to nie zapytałem. Dziwiłem się, że może oddychać tym samym eomy powietrzem starych mieszczańskich szaf i komód, tą naszą stęchlizną i zepsuciem, moralnością chrześcijańską w naftalinie. Cała ohyda naszego miasta te miłkie grzechy i miłkie namiętności.

w których tonęliśmy po uszy... Diabli wiedzą, skąd się bierze taka uroda na takiej gnojnej ziemi. Nam, łapczywym na odpadki, garb wyrasta od grzebania w śmieciach, kończymy z pełnym worem śmieci naszych uczuć, pękata schedą zanego żywota. Nie chciałem tak skończyć, Bóg mi świadkiem.

Objąłem ją i uchyliłem woalkę. Położyła mi palec na ustach, chroniąc się przed pocałunkiem. Zrobiło mi się nieswojo. Patrzyłem na jej odmienioną twarz, bladą i mizerną, w pierwszej chwili myślałem, że wycienlowała sobie oczy. Wtulilem wargi w jej dłoń, była sucha i rozpalona.

— Co byś zrobił, gdybym nie przyszła? — Zapewniłem ją, że czekałbym, aż by mi broda urosła bujna do pięt. — Czekalbyś do rana?
— Czekalbym do zimy, a zimą utopiłbym się w przerebli z tabliczką na piersi, gotowym nekrologiem do rymu. Dlaczego w przerebli? A dlatego, że pływam za dobrze.

Wziąłem ją pod rękę i poszliśmy krzywym zaułkiem w głąb miasta. Wiodłem ją przez obskurne zakamarki, zgniły pejzaz mojej miłości. Im więcej okrutnej szpetoty, tym ona była piękniejsza. Grzyb zżerał ośliże kamienice, mydliny spływały rynsztokiem, spieniony żal za grzechy, tu się odbywała spowiedź powszechna w balli i przy maglu. Była to ulica Zytnia. Przypomniało mi się, że jestem bez grosza.

— Co robiłeś cały tydzień?
— Spałem, aby nie myśleć o tobie.

— Ty kpiarzu od siedmiu boleści — powiedziała Hanna Hananejka i nagle (kiedy mi się zdawało, że spędzimy jeszcze jeden ironiczny wieczór, innych nie spędziliśmy) zastąpiła mi drogę z takim wyrazem twarzy, jakby ją coś opętało. [...] Błysk był zjadliwie zielony. Położyłem uszy po sobie, skapcałają czarodziej, tylko czmychnąć do mysiej nory, naigrałem się z ogniem, teraz ogień igrał ze mną.
— Kochasz mnie?

Wzięła moją twarz w obie dłonie (sędziowie śledczy uprawiają takie pieszczoty) i świecąc mi w oczy tym zielonym światłem, czekała, co powiem, jakby mój parszywy los miał się rozstrzygnąć na Zytńskiej ulicy. Ja i miłosne zakłęcie. Boże w niebiesiech, jeśli ta dziewczyna zachowała resztkę rozsądku, błagam cię, Panie szepnij jej, co należy. Niech mi powie, że to żart, rewanz, kpina za kpinę. Niech nie każe mi milczeć za długo. Niech mi nie świeci w oczy. Jestem niewinny. Nie przyznaję się do niczego. Odmawiam zeznań!... Opuściła dłonie, chłód liźnął mi policzki, ścierpłem z zimna. Obróciła się i poszła.

Pocierałem oblicze zgrabiałymi rękami, aż krew z pięt wróciła mi do głowy, ujrzałem czynszówkę Zytńskiej ulicy, wylinałe od syfa, w koślawym korowodzie, bramy, w których kwitła miłość za pięćdziesiąt złotych (dawniej za rubla), u Szwytki-zegarmistrza jeszcze się świeciło, garb starego rozwałił się na ścianie i beczelnie wycoczywał. [...] zaciągnąłem Hananejkę na Zytnią, aby jej to własnie pokazać! Hanka, cień jej umykał na swarlich obcasach, cały rząd latara oglądał się za nią.

Hori-mono (2) -bez kropli krwi

Andrzej Jelski

O DREBNY problem stanowi tematyka tatuau japońskiego. Obfituje ona w różnorodne motywy wiążące się ze scenami mitologicznymi i historycznymi, z czczeniem pamięci świętych i bohaterów narodowych; nawiązuje do akcji przedstawień teatru Kabuki, symboliki życia zawodowego, pomaga w identyfikacji członków gangów; rejestruje różne bożyszcza dnia, przedstawia pejzaże, sięga do przedstawień zwierzęcych i roślinnych. Warto też podkreślić, że twórcy japońskiego tatuau odwołują się do tematyki pochodzącej z XVIII-wiecznych drzeworytów i jednocześnie, od około połowy XVIII w., piękne kompozycje tatuau są reprodukowane w drzeworycie *ukiyo-e*, o którym Feliks Jasieński, ich wybitny znawca i kolekcjoner, powiedział że jest to „najwytworniejszy przejaw ludzkiego ducha”. Można więc w tatuau japońskim spotkać podobizny bogów i demonów o wyglądzie groźnym lub groteskowym, samurajów walczących ze smokami (smok to typowo chiński motyw), młucha, czarującą gejszę, piękną kurtyzanę będącą centralną postacią miejskiego świata rozrywki, zapaśnika „sumo”, aktora teatru Kabuki, pejzaże z wędrującym wieśniakiem, wielkiego węża, dwa najważniejsze symbole bushi: miecz (dusza samuraja) i kwiat wiśni (którego płatki opadają przy łada podmuchu wiatru w sposób tak naturalny, jak samuraj oddaje życie za swego pana), ulubioną chryzantemę (narodowy kwiat Japonii), piwonie, liście kłonu, ryby (zwłaszcza karpie — symbol dzielności), motyle, ważki itp. Jest to podstawowa część listy japońskich motywów, która jednak nigdy nie była zamknięta. Cechą charakterystyczną przedstawień portretowych jest to, że postacie są zawsze ukazane w ujęciu „w trzech czwartych”, nigdy frontalnie, co jest zgodne z przyjętą konwencją m. in. w *ukiyo-e*. W przypadku zaś prac pokazujących wędrujących wieśniaków japońskich stosowano wysoki punkt obserwacji, typowy dla przedstawienia przestrzeni w sztuce Dalekiego Wschodu. Wyjątkowa ekspresja i wytworność japońskich kompozycji tatuauowych, zrodzonych w okresie Edo, pokazuje ich swoiste piękno w bogactwie barw i pomysłowości motywów, nawiązujących do najstarszych tradycji narodowych.

Jak już było wspomniane, artystyczny tatuau został wylansowany w okresie Edo przez mieszczanństwo, które należało do najniższej warstwy społecznej. Funkcja tatuau w Japonii, przy uwzględnieniu nadanego mu już od wieków charakteru piętnującego, uległa więc rozdzieleniu, a wartość praktyczna nigdy już później nie dorównała estetycznej, zwłaszcza od momentu, kiedy zo-

stał on promowany dzięki popularnym aktorom dramatycznym, którzy dostrzegli w nim nie tylko wartości artystyczne, ale również nowy środek ekspresji w grze na scenie. Pod koniec XVII stulecia jednym z piękniejszych tatuau mógł pochwalić się wybitny aktor Nakamura Utaemon IV; za przykładem aktorów moda na wytworne tatuauze stopniowo zaczęła opanowywać kręgi arystokracji japońskiej.

Przełom XVIII i XIX stulecia śmiało można nazwać złotym okresem w dziejach tego oryginalnego zdobnictwa. Będąc wyrafinowaną sztuką i jednocześnie swoistą artykulacją urody ciała, tatuau artystyczny stał się przedmiotem dumy jego posiadaczy, był eksponowany podczas wspólnych kąpieli, na licznych festiwalach i konkursach (gdzie na widok publiczny wystawiano te dzieła sztuki na własnej skórze), trafiał też do twórczości literackiej.

Z pewnej notatki XIX-wiecznej wynika, że w roku 1804 pobito rekord na największy wzór tatuauowy. Był nim olbrzymi smok, który w ramach konkursu wykonany został we fragmentach na plecach 20 mężczyzn. W całej okazałości mógł więc być demonstrowany tylko wtedy, kiedy ci wszyscy mężczyźni stali rzędem jeden obok drugiego. Ku zaskoczeniu widzów, sędziowie wyżej ocenili inny motyw: przedstawiał on delikatną pszczołę, umieszczoną na dyskretnym fragmencie męskiego ciała.

U schyłku złotego okresu japońskiego tatuau rozgrywa się akcja opowiadania Tanizakiego pt. „Tatuator”. Głównym jego bohaterem jest Seikichi, młody utalentowany artysta, który w pewnym momencie zmienia w swej pracy tworzywo, przenosząc zainteresowania z papieru i płótna na ludzką skórę. Zostało to spowodowane odkryciem w sobie przyjemności, jakiej doświadczał Seikichi w zadaniu cierpień podczas wbijania igły w spuchnięte i zakrwawione ludzkie ciało. Im głośniejszy ofiary jęczały, tym większą rozkosz przeżywał nasz bohater. Szczególnych akcentów nabiera akcja opowiadania z chwilą, kiedy Seikichi przypadkowo zauważa piękną, młodą kobietę, która po chwili znika mu z oczu. Od tej pory zostaje opętany obsesyjnym pragnieniem stworzenia arcydzieła na plecach tej nieznannej mu piękności, ale dopiero po pięcioletnich poszukiwaniach niespodziewanie ją odnajduje, zwabia do swej pracowni, gdzie realizuje pragnienie, tatuując na plecach ukochanej olbrzymiego pajaka. Tym aktem twórczym wydaje na siebie — o czym jeszcze nie wie — wyrok

śmierci, albowiem wkrótce efekt twórczej wyobraźni urzeczywistnia się. W pewnym momencie Seikichi widzi, ku swemu przerażeniu, że stworzył potwora, który za chwilę zjedzie z pleców ukochanej, aby go pochłoniąć.

Tatuau japoński, podobnie jak i europejski, miał w swych dziejach okresy wzniołości i upadku. Dochodząc do władzy w 1868 r. cesarz Mutsuhito, panujący jako Meiji (od tego imienia okres jego władzy nazwano Meiji czyli „Świątyni Rządów”), w jednym z pierwszych rozporządzeń zakazał wykonywania tatuau, uważając, że każda forma szpeczenia ciała koliduje z nauką głoszoną przez Konfucjusza, a przede wszystkim — poniża godność narodową Japonii w oczach Europejczyków, których cywilizację postanowił przyszczepić na grunt Nipponu. Był to poważny cios dla do niedawna tak pięknie rozwijającej się sztuki cieleśnej, zagrożony został byt wielu Hori. I oto, paradoksalnie, w sukurs japońskiemu tatuauowi przychodzi Europejczyk. Za sprawą następcy tronu angielskiego, księcia Edwarda (późniejszego króla Edwarda VII), który podczas wizyty w 1881 r. w Kraju Kwitnącej Wiśni potajemnie pozyskał tatuowanego smoka, dowiadują się o wspaniałej twórczości Hori angielscy arystokraci, a temat tatuau japońskiego szybko podchwytuje żadna sensacja prasa londyńska, zarabiając nim gazety innych krajów zachodnioeuropejskich. Znany pisarz francuski Pierre Loti w głośnej powieści „Madame Chryzanthème”, pełnej zachwyty dla japońskiej egzotyki, opisuje wszystkie zabiegi towarzyszące tatuowaniu, któremu sam się zresztą poddał podczas odwiedzin u pewnego Hori w Nagasaki.

Grunt pod modę na tatuau artystyczny wzorowany na japońskim jest już przygotowany w niektórych warstwach społeczeństwa zachodnioeuropejskiego: wszak jesteśmy w okresie fascynacji sztuką japońską, która wywarła ogromny wpływ na kształtowanie się różnych kierunków w sztuce europejskiej na przełomie XIX i XX w., zaś sława drzeworytu *ukiyo-e*, bezpośredniego „sprawcy” zainteresowania sztuką japońską w ogóle — obiegła cały świat. To szczęśliwe zrzęcenie losu spowodowało złagodzenie sankcji wobec tatuatorów w samej Japonii. Rozwój japońskiego tatuauu został jednak zahamowany, nigdy też później nie odzyskał on już świetności, do jakiej doszedł w okresie Edo.

Angielski dziennikarz Gambier Bolton, który odwiedził Japonię u schyłku ubiegłego stulecia, stwierdził, że podczas gdy o japońskich tatuatorach było głośno prawie na całym świecie, w ich własnym kraju wokół ich działalności panowała znowa milczenie. Bolton wyróżnił twórczość dwóch ówczesnych najwybitniejszych Hori: Hori-Chiyo i Jokohamy i Hori-Yasu z Kito. Warto nadmienić, że z usług Hori-Chiyo skorzystali m.in. wymieniony książę Edward, jego następca na tronie Jerzy V oraz car Mikołaj II, a przez pewien czas terminował u niego George Burchett, jeden z najwybitniejszych angielskich tatuatorów z pierwszej połowy XX w. Bolton złożył wizytę w pracowni Chiyo, gdzie widział kilku uczniów oczekujących na mistrza z igłami i tuszem w rękach. Ich ciała były przyozdobione dziełami mistrza, z których — zdaniem Boltona — na szczególną uwagę za-

Polemiki NEOFEUDALIZM!

Janusz Paweł Czapski

MARTWIA się ludziska naszą sytuacją, zmartwiałymi głowami poruszają, a ja muszę się martwić tego poruszania efektami. Ostatnio objawy zmartwienia wykazały głowa i pióro Janusza Roszki („Przegląd Tygodniowy” 7/32. „Ze wsi do miast, a teraz odwrotnie”). Przedmiotem troski stał się stan polskiego rolnictwa. Obywatelska to postawa i właściwie należałoby ją schwalić gdyby nie rezultat pracy umysłowej jednego z asów polskiego reportażu. Martwił Janusza Roszkę ubogie, wbojące zasoby ludności polskiej wsi i w związku z tym orzekł: „obecnie musimy tak ustawić wszystkie mechanizmy, aby przyszyły ruchowi ludności z miast ku wsi”.

Jakie mechanizmy proponuje autor? Ekonomiczne, społeczne, kulturowe? Albo nie z tych rzeczy? To byłoby zbyt mało wyrafinowane intelektualnie. Od takich propozycji nie się w gazetach, wystąpieniach rządowych, sejmowych. A tu musi być oryginalnie. Jest więc konkret w następujących zdaniach: „Musimy — pilnie — wprowadzić rygor, aby zahamować odpływ ze wsi do miast. Jednym z takich rygorów byłoby ograniczenie budownictwa mieszkaniowego w miastach. Nie leży w interesie kraju ściąganie ludzi ze wsi do miast, więc nie ma sensu budować dla nich mieszkań”.

O! I to jest jądrem obszernego artykułu! Przywiązać chłopca do wsi, do ziemi. Nie porzucić, zakazać opuszczania wsi. A gdyby już bardzo się uparł — nie dać w miastach mieszkania pod żadnym pozorem!

Urodził się, chłampie, na wsi, to siedź tam do końca życia i uprawiaj swój zagonek. A jak będziesz grzeźniał i dużo produkował, to może dostaniesz bilet wstępu do miast, broń Boże żaden abonament, żebyś sobie mógł popatrzyć, jak żyją ludzie.

Bolećkowicach, nie sieje, nie orze, a... para się piórem, spod którego wychodzą propozycje rygorów przywiązujących chłopów do wsi.

Czyżby nie czuł w sobie duszy przywiązanej do wsi i roli kmięcia? Czyżby więc? Artykuł wskazuje, że zagrata w nim dusza... feudała. Bo czymże jest w swej istocie propozycja zakazu osiedlania się w miastach ludzi pochodzenia wiejskiego? Skąd my to znamy? Ano ze szkoły, z czytańek o feudalnych chłopach pańszczyźnianych. Czyżby autor, człowiek rozmaito wyprzeżony, nie przeczył w historii, lekcji z feudalizmu nie doczytał do końca i nie znał skutków tego systemu?

Zaiste, nawet w najczarniejszych myślach nigdy nie przypuszczałem, że będę zmuszony bronić polskiego chłopca przed neofeudalnymi zakusami.

Stare przysłowie mówi, że z niewolnika nie ma robotnika. Wszelkie próby zniewolenia, a do takich należy przecież przywiązanie ludzi do miejsca pracy czy zamieszkania, nigdy nie przynosiły pozytywnych efektów i mogą srodzisz co najwyżej bunt. I nie pomoże nawet złota klaska.

Mieliśmy już przykład całkowitego nieskuteczności, administracyjnego blokowania fluktuacji kadr w przemyśle. Dato to w rezultacie stresy, zniechęcenia i gorszą produkcję. Tu może spowodować tylko i wyłącznie zmniejszenie dopływu żywności do miast.

Pomijając ekonomiczną niestrawność propozycji, dość przecież zwiększenia zatrudnienia to klasyczny przykład gospodarki ekstenzywnej, krótkowzrostowej i prowadzącej w ślepy zaułek, artykuł Roszki grzeszy przeciw równowadze, humanitaryzmowi, wolności i paru jeszcze takim romantycznym dyrdymałkom, którymi prawowierny wyznawca profesora Iłobryńskiego nie musi się przejmować, ale które są dość istotne dla trochę już jednak ucywilizowanego społeczeństwa polskiego.

Osobliwa propozycja Roszki jest przejawem dzielnego humanisty biurokratyczno-technokratycznego podejścia do dość skomplikowanych i wielostronnych procesów społecznych, których efektem jest starzenie i wyłudnianie się wsi.

Oczywiście, że może nie tyle skierowanie strumienia migracji w drugą stronę co jej zmniejszenie byłoby korzystne. Trzeba na to jednak wpływać stworzeniem pozytywnych warunków, mechanizmami zachęcającymi do najkorzystniejszych społecznie zachowań w ramach wolnego wyboru, a nie tworzyć system utniemożliwiający jakikolwiek wybór, gdyż to może tylko polskie rolnictwo dobić.

Nie ma się co ludzi, że bez poważnych zmian zasad ekonomicznych, prawno-własnościowych, a przede wszystkim warunków cywilizacyjnych, na polskiej wsi może się coś zmienić.

Był czas, że ośrodkiem kulturotwórczym, promującym wiejski postęp, była wiejska szkoła i wiejski nauczyciel. Czy dzisiaj szkoła tę funkcję spełnia nadal? A jeżeli nie, to co ją zastąpi? Koszmarne kluby rolników? Telewizja z Telewizyjnym Technikum Rolniczym? Radio? Szkiełko GS-u z nieśmiertelnym jablem? Niesam fikcyjne GOK-i?

Czy ktoś (prasa, radio, telewizja) choćby usiłuje kształtować świadomie cywilizacyjny wzorzec współczesnego polskiego rolnika i wsi? A jeżeli takie próby nawet są, to

czy powinien to być wzorzec tylko producenta, wiejskiego robotnika pracującego i dającego więcej i więcej, czy może wzorzec po prostu normalnego człowieka, tyle że wykonującego specyficzny zawód?

Wydaje się, że w naszej propagandzie przeważa pierwszy model, co ludziom wsi najuczulajniej ubliża, gdyż podtekst tego jest taki: pracuj więcej, bo na razie jesteś led i wszystkie kłopoty żywnościowe przez twoje lenistwo. A przecież wsi polska jest pracowita i nie ma potrzeby gonić jej do roboty. Trzeba tylko stworzyć warunki i motywacje. Wtedy będą efekty.

Socjalizm polega na tym, że za podobny wkład pracy uzyskuje się podobne walory materialne czy duchowe, bez względu na miejsce pracy czy zamieszkania. I nie chodzi tu koniecznie o pieniądze, choć i te są sprawą niebagatelną, lecz o możliwość kulturową, możliwość rozwoju osobowości (tak taki rolnik też coś takiego posiada), korzystanie z dobrodziejstw cywilizacji.

Czy syn rolnika dlatego ucieka ze wsi do miasta, że jest leniwy, czy może dlatego, że w mieście ma wygodnie mieszkanie zamiast rozwijającej się chałupy, kino, teatr i cyrk kilka ulic dalej, elegancką kawiarnię, zamiast obkurczony gospody ludowej, sieć sklepów kilkanaście razy gęstsza niż na wsi, modnie i ładnie ubrane dziewczyny na ulicach, przyzwoitą szkołę dla dzieci pod nosem, a nie w odległej o 10 km gminie itd., itd.

Jezeli uda się zmienić infrastrukturę wsi, dać rolnikom więcej ulęwej to, co mają ludzie w miastach, spokojną głowę, odpływ ludzi ze wsi ustanie. Bo różnica będzie tylko w szpetocie architektury i ścięciu spalin. I to są korzyści wsi!

Tylko taka polityka, wsparta zapewnieniem środków do produkcji, może zaoroczować wystarczającym do żywienia narodu poziomem produkcji rolnej.

Społeczny podział pracy nie może być pretekstem do stwarzania i pogłębiania, a tak się jakoś dziwnie do tej pory działo, cywilizacyjnych różnic między różnymi grupami społecznymi. Socjalizm to różnica musi niszczyć. Przynajmniej jeśli nie w sensie korzystania, to na pewno w sensie możliwości, dostępności. W takim razie więcej ducha został pomysłami i trzeba to w końcu zacząć realizować.

Zamiast oddzielać wsi od miasta metoda ograniczenia migracyjnych niedawania mieszkań w miastach itp. trzeba koniecznie i pilnie wsi do miasta zbliżyć. Materialnie, cywilizacyjnie, ale też w sensie głębszego obopólnego zrozumienia problemów i wzajemnych oczekiwań. Długa to droga, trudna i niewątpliwie wstępną spektakularną od rozszkwanego rygoru, ale jedyną możliwą. Im prędzej ją przebedziemy, tym lepiej dla całego narodu. Wszak jego zasobność, siły państwa, której nie tak nie ostabia jak pogłębianie wewnętrznych podziałów i ograniczanie wiejskiego getta.

Zastanawiam się, skąd takie pomysły przychodzą do głowy tak znakomitemu i zazwyczaj trzeźwemu myślicielowi publicysty? I innego wytlumaczenia jak wpływ bolećkowskiej posiadłości Roszki nie mogę znaleźć. Do bolećkowskiej dworek może zrzeczywiście skłonić do zadumy nad wsią dawna ciemnotność (sam się kiedyś tam nad jej suą dawną ciemnotność (sam się kiedyś tam nad jej suą ciemnotność), a stąd już tylko krok do myślenia o udalonych panach i przywiązanych do wsi chłopach zrzeczywistnionych.

ślugał motywy w kształcie naturalnej wielkości jaszczurki „umieszczonej na czole jednego z uczniów z takim realizmem, że żadna mucha nie śmiała mu się na głowie”.

Z biografii Chiyo można się dowiedzieć, że studiował on w Akademii Sztuk Pięknych w Tokio, ale nie będąc „usatisfakcjonowanym swymi postępami w malarstwie i atmosferą w uczelni, poświęcił się specjalnym studiom nad sztuką tatuażu, które pozwoliły mu wzbogacić tradycyjną koncepcję”. Chiyo twierdził, że co rok projektował wiele ciekawych kompozycji tatuażowych, które proponował później swym klientom. W swej działalności kierował się dewizą, w myśl której zasadniczym jego celem „nie było pomnażanie majątku, lecz chęć upowszechnienia sztuki tatuażu i podniesienia prestiżu tatuatora w społeczeństwie”. Pod koniec swego życia, będąc już sławnym, Chiyo naraził się władzom swego rodzinnego miasta i został ukarany grzywną. Gdy wiadomość o tym fakcie dotarła do Stanów Zjednoczonych, nowojorski milioner Max Bandel zaangażował go do pracy w USA za roczną pensję 2400 funtów szterlingów (po przeliczeniu z dolarów). Była to zupełnie przyzwoita suma w owych czasach. Dowiedziawszy się o tej propozycji, Chiyo miał stwierdzić, że tak hojne wynagrodzenie w całości zawdzięcza uprzejmym wysiłkom joko-hamskiej policji. Słynny tatuator zmarł w 1900 r., lecz tradycje rodzinne były nadal podtrzymywane; jego następcą został syn, Hori-Chiyo II. Po śmierci Hori-Chiyo gazeta „New York World” nazwała go z emfazą „Szekspirem Tatuażu”.

Tatuaż nie został nigdy w Japonii zupełnie wykorzeniony, ponieważ można było go wykonywać na tych częściach ciała, których na codzień nie odsłaniało. Podróżnik angielski Sir E. Arnold, który przebywał w Japonii w 1890 r., wspomina, że widział robotników „obnażonych na tyle, na ile zezwalało prawo”. Bardziej dociekliwym chciał się okazać dziennikarz z „Illustrated Tokyo News”, który chcąc sprawdzić, czy wiozący go pewnego dnia riksasz ma ukryte pod ubraniem tatuaże, poprosił go, aby za opłatą zademonstrował mu „swe ozdoby cielesne”. Okazało się, że „miał na swoim ciele tak wiele smoków, gwiazd, wydarzeń z prywatnego życia, historii narodowej i innych wzorów, że mógłbyś przez godzinę podziwiać to bogactwo motywów na szafrowej powierzchni jego ciała”. Opisany epizod zdarzył się w 1910 r.

W militarystycznie i nacjonalistycznie nastawionym cesarstwie okresu międzywojennego japońscy tatuatorzy działali w konspiracji. Pewien tamtejszy dermatolog widział tylko 13 tatuowanych pomiędzy 1928 a 1942 r.

Wprowadzenie w 1946 r. amerykańskiej okupacji i przeprowadzenie w jej ramach poważnych reform politycznych doprowadziło do większej liberalizacji w życiu społecznym kraju. Powstał też bardziej sprzyjający klimat dla działalności tatuatorów. Odradzają się więc pracownie, a także kluby zrzeszające tatuowanych (najslawniejszy z nich Edo-Choyu-Kai został założony w 1905 r.), które organizują raz w miesiącu spotkania w domach prywatnych lub łaźniach miejskich. Urządza

się ponadto zjazdy z udziałem tatuatorów z całego świata, robi wystawy indywidualne i zbiorowe tatuaży o randze krajowej i międzynarodowej. Najważniejszym wydarzeniem w japońskim „świecie tatuażu” są buddyjskie uroczystości z okazji nadejścia wiosny i jesieni. Odbywają się one w starej dzielnicy Tokio, gdzie panuje wiele z atmosfery dawnego Edo. W trakcie uroczystości organizuje się wielki show z udziałem tatuowanych.

Przez cały niemal ciąg dziejów sztuki japońskiej powstawały szkoły lub rody artystyczne, które z reguły lansowały pochlebne opinie o najwybitniejszych i zasłużonych swych członkach oraz ich dziełach, utrzymywały pamięć o nich i wywierały też rodzaj propagandowej presji, pozyskując klientów, zwolenników, protektorów i mecenasów. Do jednego z takich rodów tatuatorskich należeli m.in.: niezjący już prof. Fukushi i wybitny współczesny tokijski artysta Yamado Bunzo, chlubiący się tytułem Hori-Bun. A oto relacja R. Scutta z wizyty u Hori-Buna, podczas której zademonstrowano tradycyjną technikę japońskiego tatuażu.

„Zaraz po wejściu do domu Hori-Buna zdjęliśmy, jak nakazuje zwyczaj, obuwie i zostaliśmy wprowadzeni do salonu, gdzie powitał nas pięciokrotnym ukłonem jeden z młodszych członków rodziny mistrza. Hori-Bun w tym czasie pracował. Gospodarze rozłożyli poduszki na podłodze. Po tych wstępnych formalnościach etykietałnych, skierowano nas na piętro, gdzie mieściła się pracownia mistrza. Po chwili zostaliśmy przyjęci przez bardzo dystyngowanego mężczyznę, zbliżającego się do sześćdziesiątki. Zona prof. Fukushi, pełniąca rolę tłumaczki, wyjaśniła, że interesuje mnie tradycyjne japońskie wzornictwo w tatuażu i pragnąłbym przy okazji pozyskać jakiś motyw. Hori-Bun przystał na moją prośbę, grzecznie zniżając opłatę, co było dowodem zadowolenia z mojej wizyty. (...) Następnie dokonałem wyboru motywu, zaprojektowanego oczywiście przez Hori-Buna; zaproponowano mi o położenie się na podłodze i ułożenie głowy na poduszce. Wkrótce miejsce do tatuowania zostało odkryte i Hori-Bun przystąpił do pracy. Najpierw naszkicował czarnym ołówkiem wzór, potem zmieszał pigmenty na palecie i przystąpił do zasadniczej czynności. Początkowo dość bolesne, w miarę upływu czasu ukłucia przestały być jednak dokuczliwe, co spowodowane było m.in. odwróceniem mojej uwagi od samego zabiegu, dzięki rozmowie prowadzonej z p. Fukushi. Podczas zabiegu, który trwał przez około dwie godziny, nie została uroniona nawet jedna kropla krwi. Wzór zajął powierzchnię 10 cali kwadratowych na moim ciele. (...) Tradycyjni japońscy tatuatorzy unikają stosowania elektrycznej maszyny, która — ich zdaniem — obniża prestiż tatuatora i przeszkadza w uzyskaniu przez rękę pożądaną zręczności. W trakcie tatuowania posługują się bambusową pałeczką z przymocowanymi igłami na jej końcu. Do zarysowania wzoru stosuje się jedną lub dwie igły, natomiast do wypełnienia płaszczyzny — 30-igłowy zestaw w kształcie pęczka. Sam zabieg polega na dżganiu pałeczką zaopatrzoną w igły z szybkością ok. 90-120 ułtów na minutę pod kątem ok. 25° od linii pionowej. Igły są co jakiś czas zanurzane w barwniku, np. czarnym lub czerwonym tuszu. Wykonywanie, zwłaszcza większych kompozycji tatuażowych, rozłożone jest sukcesywnie w czasie. Zmusza do tego ograniczona odpor-

ność na ból klienta, jak i wyczerpanie się tatuatora”.

Zdaniem Z. Ohya, po każdym zabiegu tatuowany powinien wziąć kąpiel. Wpływa to na poprawę samopoczucia i czyni tatuaże efektywniejszymi. Przestrzega się świeżo ozdobionych przed nadużywaniem alkoholu, bo może to spowodować zatrucie organizmu. Cała operacja jest wykonywana z przestrzeganiem elementarnych zasad higieny. Igły przed każdym zabiegiem są sterylizowane, natomiast miejsce pod tatuaż dezynfekowane alkoholem i wywarem z ziół.

Aby zachować dla potomności najpiękniejsze dzieła rąk japońskich mistrzów, staraniem wspomnianego już prof. Fukushi, zmarłego w latach 50-tych wykładowcy University of Tokyo Medical School i jednocześnie światowej sławy tatuatora, zorganizowano w Anatomy Museum przy wymiennej uczelni specjalną stałą ekspozycję tatuowanych skór. Pozyskiwał je dla zbiorów muzealnych sam prof. Fukushi, który odwiedzając pracownie najwybitniejszych Hori, spotykał tam osoby będące w trakcie wzbogacania się o atrakcyjne kompozycje. Zafascynowany niektórymi pracami, pokrywał koszty ich wykonania, uzyskując uprzednio gwarancję, że po śmierci właścicieli pomnożą one zbiory muzealne. W 1973 r. w Anatomy Museum przy Uniwersytecie Tokijskim znajdowało się — jak piszą R. Scutt i Ch. Gotch — ponad 100 tatuowanych skór. Rozpięte są one na blejtramach lub specjalnych plankach znajdujących się w oszklonych gablotach. Wielkość prezentowanych eksponatów jest zróżnicowana, w niektórych przypadkach skóra została zdjęta w całości z pleców lub z przedniej części tułowia oraz z kończyn, innym razem widać, że tatuaże wycięto z większego płata skóry. Niektóre eksponaty wskazują na to, że nie wszystkie wzory zostały ukończone — być może z braku środków na dalsze kontynuowanie pracy, zniechęcenie nosisiela do uzupełnienia motywów lub ze względu na przedwczesną śmierć klienta.

Zdaniem R. Scutta i Ch. Gotcha, w Japonii w 1973 r. żyło ponad 1000 mężczyzn i około 50 kobiet mających rozległe tatuaże na całym ciele. Większość z nich żyła w Tokio, co wiąże się z faktem, że obecnie najznakomitsi Hori mieszkają w stolicy Japonii; jest ich tam dziś około 15. Corocznie w Tokio prawie 20 osób poddaje się tatuowaniu na całym ciele; dane te można sprawdzić, gdyż wszyscy ci ludzie są zarejestrowani w klubach zrzeszających tatuowanych. Najbardziej znanym w Europie Zachodniej jest Hori Kazuo Oguri.

Tatuaż japoński, ze względu na oryginalne rozwiązania kompozycyjne, bogactwo motywów, piękną kolorystykę oraz wyjątkową ekspresję, bez wątpienia podważa utartą, negatywną opinię o tym jednym z najstarszych sposobów artykulacji wizualnej, rozpowszechnioną wśród większości przedstawicieli współczesnego społeczeństwa. Natomiast sam fakt zrodzenia się na gruncie japońskim tak oryginalnej gałęzi sztuki, jaką jest tatuaż artystyczny zmusza do rewizji potocznych sądów, przedstawiających mieszkańców Nipponu wyłącznie jako uzdolnionych imitatorów. Wypadnie więc zgodzić się z J. W. Hallem i określić Japończyków tak, jak oni sami pragnęliby być widziani: „jako ludzi szczególnie wrażliwych na przyrodę i piękno, bądź posiadających dar przetwarzania obcych wpływów kulturowych w swoistą syntezę”.

Nie ma życia bez picia ...

Dokończenie ze str. 3

● Przed budowaniem takich wielkich ferm hodowlanych (bezciołkowych), jak wznoszona między wioskami: Uciekajka i Kaniwola, 3 km w linię powietrzną na północ od szybów węglowych Bogdanki, a w bezpośredniej zlewni Piaseczna, najczystszej jeziora całego kompleksu — ponieważ gnojowica z tego obiektu przenikać będzie do zbiornika który zachwyciwszy niegdyś profesora Lińskiego, do dziś cieszy letników i naukowców.

● Przed inwestorami przeróżnych „daczy”, którzy otoczywszy domkami i willami np. Jezioro Łukcie, nie wiedzą, że przyspieszają swoją działalność i obecnością naturalny proces jego starzenia się, wypełniania masy — złożonej z 11-metrowej warstwy osadów dennych (!) i zaledwie 9-metrowej warstwy wody.

● W końcu (?) należy bronić Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie przed wielkim przemysłem. Jest to problem tyle osobny, co szalenie trudny i skomplikowany.

Powtórnie rzuciwszy okiem na tę listę, naszkicowaną przecież na podstawie opinii specjalistów dysponujących rzetelnym rozpoznaniem sprawy, dojdziemy do dziwnego wniosku, że głównym zagrożeniem Pojezierza jest... pomyślność gospodarcza kraju i zamożność jego obywateli, a zatem — idąc dalej tym tropem — wszystkie wymienione niebezpieczeństwa i zastrzeżenia to nie innego, jak wymysł fantastów, którzy zamknęli w trudnych do zlokalizowania fortcach dobrobytu, zielonego pojęcia nie mają o nekającym nas kryzysie. O czym tu mówić, skoro nawozów mineralnych brakuje, fermy hodowlane stoją pustawe, do wznoszenia willi nikt się jakoś nie kwapi, a Lubelskie Zagłębie Węglowe i planowane elektrociepłownie z rzeczy wielkich zamieniły się w mniejsze i chwala Bogu, że górnicy zaczynają fedrować... Jeśli w ogóle warto coś odnotować, to chyba jedynie ów fenomen: że istnieje w Polsce rzeczywistość, która

skorzystała na kryzysie, nie posiadając znamion spekulacyjnej mafii.

A jednak, na przekór „rozsądkowi”, mówić o tych sprawach trzeba. Kryzys nie będzie trwał wечно, z czasem powstaną nowe kopalnie LZW, wchodzące na teren Pojezierza, a wraz z nimi pojawią się wiele podstawowych problemów ekologicznych. Poza tym, jak wykazuje praktyka minionych dziesięcioleci, ustalenia i sugestie nauki z oporami i opieszale akceptowane są przez gospodarkę — szczególnie wówczas, kiedy w grę wchodzi ochrona środowiska naturalnego, czy choćby respektowanie jego specyfiki. Jednostronne obwinianie np. przemysłu za taki stan rzeczy wydaje się przy tym nieporozumieniem. Rzecz raczej w tym, że nie istnieje u nas sprawna transmisja idei, poglądów i programów między stronami, a do ewentualnej wspólnoty działania dochodzi się niemalże drogą prywatną, elokwencją, by nie powiedzieć — urokiem osobistym pojedynczych ludzi nauki. Pewne nadzieje na unormowanie sytuacji można czerpać z „Ustawy z dnia 31 stycznia 1980 r. o ochronie i kształtowaniu środowiska”, liczącej zresztą ponad 22 strony druku.

W pierwszym zaś rządzie mówić trzeba o tym, jak uchronić Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie przed negatywnymi skutkami przewidywanej rozbudowy LZW, która — powtórzmy — nastąpić musi. Oczywiście, kwestia ta od kilku lat znajduje się w polu uwagi nauki, dzieląc wszelkie udziałowców sprawy na przynajmniej dwa obozy: umiarkowanych optymistów i katastrofistów, którzy obawiają się wręcz przelewania wody ze starych jezior w zapadliska spowodowane eksploatacją węgla, nie mówiąc o innych poważnych deformacjach obszaru. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu prezentowano też odmienne poglądy na temat odprowadzania zasolonych wód dołowych z kopalni. Przedstawiciele przemysłu skłonni byli bagatelizować sprawę, a pewien naukowiec proponował nawet wpuszczenie tej cieczy do Kanału Wieprz-Krzna celem użyczenia gruntów rolnych, co wzbudziło jednak zdecydowany sprzeciw innych

specjalistów, przypominających mimochodem fakt, że właśnie sól zgubiła starożytne cywilizacje. Prokrowano przy tym, że skierowanie wód dołowych przez rzeczkę Swinkę, Wieprz do Bugu i dalej, aż do Zalewu Żegrzyńskiego, spowoduje kompletne zasolenie mieszkańców Warszawy i okolic, albowiem z tego oto zbiornika czerpią oni wodę pitną. Już wtedy podnoszono też kapitalną kwestię opracowania planu zabezpieczenia całej sieci hydrograficznej LZW, mającej wielki wpływ na poziom produkcji rolnej na tym terenie.

Krótko mówiąc, wokół relacji Pojezierze—LZW narosła wcale obfita literatura naukowa, miejscami kontrowersyjna, ale w zdecydowanej większości wartościowa pod względem merytorycznym oraz, co chyba ważne, praktycznym. Szkopuł w tym, że wiele wniosków, opartych na niejednokrotnie długoletnich badaniach, może pójść na marne. Otóż badania te, prowadzone przez co najmniej kilkanaście różnych jednostek organizacyjnych, nie były i nie są koordynowane (jeśli pominąć pojedyncze przypadki). Próby unormowania sytuacji, tożsame z tzw. „zintegrowanym systemem kontroli funkcjonowania środowiska LZW”, opracowanym przez zespół pod kierunkiem prof. Jana Siuty (17 lat w puławskim IUNG-u, potem w warszawskim IKS), utknęły w miejscu za sprawą kryzysu gospodarczego, jak to dziś wypada tłumaczyć, nie zapominając wszakże o znacznie wcześniejszej obojętności urzędniczo-ministerialnej wobec tego mądrego, chciałoby się rzec — rewelacyjnego elaboratu, który posiadał tylko jedną „wadę”: wymagał konsekwentnej, obliczonej na wiele lat realizacji z udziałem autentycznych specjalistów.

Mając to wszystko na uwadze, trafniej będzie stwierdzić, że kryzys nie tyle chroni naturalne walory Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego przed zdegradowaniem ze strony człowieka i techniki, co raczej odwleka ten smutny proces. Kłopotliwe problemy ekologiczne obszaru były, są i czekają na rozwiązanie. Warto przy tym zdać sobie sprawę, że „ekologiczne” to ostatecznie znaczy „kulturalne, społeczne, gospodarcze”.

Tadeusz Graba

Bob Dylan wspaniałą

NAZYWANO go różnie — magiem, zbuntowanym poetą, prorokiem nowej sztuki, ideologiem amerykańskich kontestatorów, żywym symbolem młodej generacji. Bob Dylan, bo o nim mowa, zyskał sobie poczesne miejsce w historii subkultury blue jeans. Amerykańska młodzież wręcz go uwielbiała, słuchając przedzielnego głosu Boba nierzadym wyrazem w sprawach żywo interesujących szeroki ogół społeczeństwa. Lewicowe poglądy Dylana miały w latach frustracji młodego pokolenia ogromny wpływ na ukształtowanie się ideologii bojowników o pokój, prawa obywatelskie, rozbrojenie, równość rasową. Manifestował je pieśniarz z pomocą muzyki i sugestywnych tekstów poetyckich, mających charakter ideowego wyznania. Nie bez powodu stwierdził pewien amerykański krytyk, iż Dylan wprowadził poezję do grającej szafy.

Twórczą zadumą kontrowersyjnego Boba było stworzenie dla swych hipnotycznych ballad odrębnej formuły literackiej, pozwalającej rockowi stać się później samodzielną dziedziną artystycznej wypowiedzi. Trafiające na podatny grunt kompozycje Dylana nie tylko głęboko poruszały wyobraźnię oraz umysł słuchaczy, ale i inspirowały

czołowych kreatorów rocka po obu stronach Atlantyku. Jego utwory wykonywali z powodzeniem: The Animals, Byrds, Jimi Hendrix, Lovin' Spoonful, Mamas and Papas, Manfred Mann, Van Morrison, Simon and Garfunkel, Sonny and Cher, Turtles, Stevie Wonder, a nawet król rock and rolla Elvis Presley.

Urodził się, jako Robert Zimmermann, 25 maja 1941 roku w Duluth w stanie Minnesota. Mimo wzorowej opieki rodziców kilkakrotnie uciekał z domu, odwiedzając różne strony Stanów Zjednoczonych. Niespokojny charakter nie przeszkodził mu bynajmniej w ukończeniu high school, ba, nawet w podjęciu studiów uniwersyteckich, które notabene szybko porzucił. Śpiewać zaczął za sprawą legendarnego folkmana, Woody Guthrie. Kontakt z nieuleczalnie chorym wówczas Guthrim skierował zainteresowania młodego Roberta w stronę folk music, podkreślone nawet ubiorem: nosił wtedy robotniczy kombinezon, kowbojskie buty, welwetową czapkę i akustyczną gitarę. Zafascynowany postacią angielskiego poety Dylana Thomasa, „przywdział” też nowe nazwisko.

Pierwsze próby wokalne przyszłego kontestatora inspirował czarny blues. W tym

charakterze utrzymana była pierwsza płyta Dylana, wydana w marcu 1963 roku. Większość z trzynastu zapisanych na niej kompozycji stanowiły adaptacje standardów bluesowych. Podpisując kontrakt z Bobem, firma Columbia zrobiła znakomity interes. Zaledwie w trzy lata później Dylan stał się jednym z najpopularniejszych poetów i pieśniarzy świata.

W swoich folk songach krytykował amerykański styl życia i bezduszność cywilizacji, aktywność koncertową łącząc ściśle z działalnością społeczną. Występował na wiecach, brał udział w licznych demonstracjach, organizował bojkoty rasistowskich sklepów, był obecny na zlotach kontestatorów z całej Ameryki. Niespokojna sytuacja społeczna i polityczna w Stanach lat sześćdziesiątych (śmierć Johna i Roberta Kennedy'ego oraz Martina Luthera Kinga, wojna wietnamska) wyraźnie sprzyjała rozwojowi kariery artystycznej pieśniarza i poety. Artystyczna przezeń kwestia stosunku człowieka do otaczającej go rzeczywistości społecznej zjednała Bobowi legiony wiernych sympatyków i naśladowców jego sztuki.

Dylan dużo koncertował i nagrywał, zmieniając z czasem muzyczne upodobania. Sławę zdobył jako folk singer, ale stworzył lub zainspirował kilka innych stylów. To



Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Zyciorisy” popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawalki pt. „Historie ziołowe”, która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Czarnuszka siewna

Marian Janusz Kawalko

WIELOWIEKOWA tradycja kulinarna południowej (później zaś środkowej Europy) akceptowała w różnych czasach trzy gatunki czarnuszki: damasceńską, polną oraz siewną.

Tę ostatnią (*Nigella arvensis* L.) należy zaliczyć do roślin biblijnych. Jedną z pierwszych wzmianek o niej znaleźć można w rozdziale XXV Księgi Izajasza („Mowy przeciw Samarii, Jerozolimie i narodom pogańskim”). Literatura zachodnia podaje czasem mylne informacje, jakoby Izajasz (zresztą utalentowany pisarz i teolog) zamiennie używał nazwy kminku na oznaczenie czarnuszki uprawnej. W „Przypowieści o siewcy” (XXVIII, 23—29) czytamy natomiast m.in.: „Czyż oracz wciąż tylko orze, przewraca i bronuje swą rolę? Czyż raczej, gdy zrówna jej powierzchnię, nie zasiewa czarnuszki i nie rozrzuci kminku? [...] Zaprawdę [...] bijakiem wybiją się czarnuszka, a kminek cepami”.

Nasiona tego zioła należy wysiewać już w marcu, bowiem kiełkują one nawet w temperaturze kilku stopni powyżej zera. Zwykle wschody ukazują się po dwóch tygodniach, natomiast kwitnienie rośliny przypada na czerwiec i pierwszą połowę lipca (kwiaty białe, niebiesko-nerwone). Zbioru surowca kulinarnego (nasion) należy dokonywać około połowy sierpnia w dni pochmurne (najlepiej z rannej rosą). Barwa nasion jest czarna, powier-

chnia bardzo pomarszczona (tzw. szarynowa), zapach w miarę intensywny, nieco cytrynowy, przyjemny, i smak ostry, korzenny, zbliżony do smaku nasion kminku. Podobieństwo to znalazło odbicie w niemieckiej nazwie czarnuszki: *Schwarzkümmel* — czarny kminek.

O sposobach wykorzystania czarnuszki w gospodarstwach domowych Biblia nie wspomina. Można zakładać, iż Izraelici traktowali ten gatunek jako ogólnie dostępną przyprawę, służącą do aromatyzowania pieczywa, podobnie jak czynili to do końca ubiegłego stulecia Egipcjanie. Być może, z nasion otrzymywano również olej, co w Indiach praktykuje się do dzisiaj.

Pliniusz Starszy (23—79 n.e.), starożytny encyklopedysta i erudyta, widział w przyprawie, zmieszanej z octem, zbawienny plaster na ukąszenia jadowitych gadów.

Czarnuszkę spożywano w polewkach, bądź używana z pieczywem, miała działać mlekoopędnie.

Biblijne sąsiedztwo czarnuszki z kminkiem oraz późniejsze przekazy przemawiają za tezą, że jeszcze we wczesnych wiekach średnich zioło to mogło zupełnie dobrze spełniać rolę namiastki wschodnich przypraw. Nic zatem dziwnego, iż pod arabską nazwą „gil” znalazło się ono we wczesnośredniowiecznym dokumencie Ludwika Pobożnego — „Capitulare de villis” — jako zalecany do upraw na terenie ogrodu królewskiego. Czarnuszkę („gitto”) wymieniał też plan ogrodu przy klasztorze w St. Gallen z roku 820.

Polskie rękopiśmienne prace botaniczne późnego Średniowiecza (antibolomenum Jana Stanki, przypuszczalnie z roku 1472; rękopisma Biblioteki Jagiellońskiej: nr 774 z roku 1478 oraz nr 5468 datowany na lata 1450—1460; rękopis łacińsko-polskiego słowniczka roślin z Biblioteki Zamojskich, powstały w latach 1464—68;) określały czarnuszkę mianem *nigelli*, *czarnuchy* i *czarnego kminku*. W źródłach tych poza nazwą rośliny niczego więcej o niej nie zanotowano.

XVI-wieczna praktyka kulinarna w „wielkich domach” zrezygnowała — jak się wydaje — z „czarnego kminku” na rzecz przypraw kolonialnych. Najczęściej używano bowiem ziół wśród stanu szlacheckiego do preparacji prostych leków, kąpielii aromatycznych oraz produkcji potażu. Kpił Mikołaj Rej z renesansowej kuchni, opisując przygotowania to tuzinkowej biesiady: „Więc się już tu pani z panem jeszcze z wieczora radzą, co mają przy grochu, a co przy kapuście postawić. Pan powiada, iż by dobrze przy kapuście drugą kapustę, chociaż czarną. Pani zaś powiada, iż dobrze by, ale rozynków ani cukru nie mamy. Ale wiecie co: nasmażę ją ciastką jakiego, albo myszek na szalwijej. [...] Ale jako różność obyczajów na świat przypadła, także też za nimi różność we

wej przyprawie niemieckiej” i używali jej do aromatyzowania potraw, szczególnie kwaśnych. Postępowano tak zazwyczaj, gdy krenecarzowi zabrakło kardamonu, zaś kucharz chciał być zgodny z modą gastronomiczną.

Owczesne apteki polecały natomiast syropy czarnuszkowe, elektwarze (powidelka) oraz olejek.

Ingredycja trafiała też do pokrewnej kuchni pruskiej, przy czym zbierano ją ze stanu naturalnego lub skupowano od wieśniaków.

Jeszcze Kolberg nadmieniał, iż wigilijne kołaczki, pieczone we wsiach podkrakowskich, posypywano czarnuszką. Pieczywo to w okresie od Bożego Narodzenia po święto Trzech Króli miało u prostego ludu zastępować chleb. W medycynie ludowej aplikowano też nasiona czarnuszki z kwasem ogórkowym lub burakowym jako środek przeciwrobaczny. Ponadto w roku 1936 pisał A. Chętnik, iż zioła używają Kurpiowie „do chleba żytniego, do kołaczy pszennych i do serów”.

Mimo, że różne europejskie wydawnictwa utrzymują opinię o spożywczym wykorzystaniu czarnuszki w narodowych kuchniach środkowej i południowej Europy, to jednak nie wymieniają jej ani węgierskie, ani niemieckie leksykony przypraw. Nawet autorzy francuskiej encyklopedii gastronomicznej Larousse'a potraktowali tę roślinę zdawkowo.

Chlubny wyjątek w tym względzie stanowią u nas piekarze wrocławscy, posypujący czarnuszką lub makiem niektóre rodzaje pieczywa. Warto tradycyjnie podtrzymać w innych regionach kraju. Zaleca się też dodawać przyprawę do zalewy konserwującej ogórki. Nasiona czarnuszki wchodziły ponadto w skład mieszanki „Curry”, produkowanej przez Kaliskie Zakłady Koncentratów Spożywczych w Winiarach.

Z powyższych rozważań wynikają dwa podstawowe wnioski:

- Czarnuszka utraciła w Polsce szybciej znaczenie konsumpcyjne niż inne przyprawy ziołowe. Wynikało to nie tylko z dość wąskich możliwości jej stosowania w praktyce lekarskiej oraz w przetwórstwie żywności, lecz było także zapewne wynikiem przemieszczania się wpływów i opinii kulinarnych z południa i zachodu Europy w rejon Morza Bałtyckiego. Można ostrożnie przyjąć, że już od połowy wieku XVI — a może nawet wcześniej — spadło znacznie zainteresowanie czarnuszką uprawną, nie tylko zresztą u nas.
- Czarnuszkę, jako jedną z nielicznych przypraw do pieczywa (obok annyżu, maku i kminku), powinien zainteresować się na nowo przemysł piekarniczy i gastronomiczny.

Na koniec propozycja uzupełnienia nowa. Otóż badania wykazały, iż liście czarnuszki siewnej zawierają prawie piętnastokrotnie więcej (!) witaminy C niż ceniona od wieków nać pietruszki. Również kwiaty okazały się bogate w ten składnik. Może zatem współczesna kuchnia ziołowa zaakceptuje kwitnące ziele czarnuszki siewnej jako odżywczy składnik różnych surówek, salatek, zup i sosów? Efekty takich eksperymentów mogą okazać się zdrowotnie bardzo korzystne.



Rys. Maria Tyzenhaus

wszem odmienna już we wszem przypaść musiała. By gdy nie bywało tak wymyślnych potraw, nie było też tak wymyślnych kucharzy, piekarzy, tartarzy, smaźarzy, aptekarzy i innych do tak wielkich zbytków rozlicznych rzemieślników” (1567—68). I dodał w innym tekście komentarz:

Małoć by nam po ziołach, bychmy przyrodzeniu Nie czynili bezprawia w piciu a w jedzeniu... (1558)

Jeśli więc pytamy o ówczesne czarnuszkowe kulinaria, to tyle tylko odpowiadzić możemy, że nasion *Nigelli*, jako surrogatu wykwinnych przypraw, używała czasem biedota wiejska. Nie gardzili nimi również różni piekarze. We Francji natomiast najsławniejsze szlachetną nazwę „epicarie” (znaczy to tyle, co „przyprawa kolonialna”).

W drugiej połowie wieku XVIII mieszkańcy niektórych rejonów Rzeszy przydawali czarnuszkę określenie „no-

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kurowski

Fragmety:

[...] teile wskazuje, że zarówno początkowe spazmy i omłnienia, jak późniejsze ekstrawagancje stanowią objawy hipochondryczne, czy też miały związek z podłożem nerwicowo-seksualnym. Już w tym czasie nie mogła jednak dawać takich objawów. Medycyna wskazuje stwierdza, że wiele skarg kobiet na dolegliwości serca, bóle głowy, złe samopoczucie, bezsenność i mnóstwo innych objawów wiąże się z trybem płciowym, ze sferą seksualną. Żyjca dotąd intensywnie Barbara została pozabawiona satysfakcji, do których przywykła od lat, zmuszono ją do abstynencji płciowej. Należy także pamiętać, że już równie trzy lata trwał dotąd jej związek z Augustem, podczas tego czasu oddalał się od siebie tylko na krótko. Teraz zaś rozłąka się przedłużała brakowało jej Augusta jako towarzysza, przyjaciela, jako tego, który otaczał ją dotąd troską i składał dowody miłości. Brakowało jej męca z różnych powodów, dusiła ją dubińska pustka, niepokoiła przyszłość.

Taniec nad przepaścią

Fragmety Książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu”.

Młodzież przybywała z najdalszych okolic uczyć się prawa, swady oratorskiej i przekupywania sędziów. Tanczyła nocami do upadłego, grała w farsa, pila — kto wytrzymał do rana szedł istotnie posłuchać rozpraw.

Posiedzenia trybunału miały miejsce na Zamku. Sala natoczona arbutami, za długim stołem siedzieli deputaci, marszałek posiedzenia, pięciu wólcnych myczalo bez przerwy.

— Mości panowie, uciszcie się! Rozstapcie się mości panowie! Nie pchaćcie się mości panowie! Nie szarajcie nogami, nie łamcie ławek! Mości panowie nie mrućcie...

Nikt nie zważał na te wezwania, gwarzono dalej wesoło, dopiero gdy wozni ochrypli i zamilkli rozbilo się nieco ciszej.

Książę Adam marszałkował w tak niezwykły sposób, iż wszyscy baranieli ze zdumienia, stuletni męceni nie pamiętali nic podobnego. Według statutu litewskiego, gdy raz zaczęto obradować nad jakimś dekretem — deputatom nie wolno było

[...] Zygmunt August nie zapomnieli o ukończeniu. Począł ślad do niej listy i prezenty, z dalekiego Krakowa czy Piotrkowa szłał nad jej codziennymi sprawami w dubińskim zamku, fraszował się stanem jej zdrowia, straszliwie zmartwił się, gdy któregoś dnia zawałilo się sklepienie piwnicy, nad którą znajdowała się komnata Barbary i w związku z tym uległa ona zrozumieliemu szokowi (płoki ku z tym uległa ranna, zeszepecona, że po wypadku szwankowała na oczy). Te dowody pamięci, miłości spowodowały, że odzyskała rychło wiarę w stałość i wielkość Augustowego aktu, że pozostała jasniej spoglądać w przyszłość. Odwzajemniła też meżowskie zapewnienia i troski. Z czasu pobytu w Dubinkach zachowały się jej listy, w których czule i serdecznie zapewnia o swej miłości, podpisuje je jako „Wieczna sługa”, „Niewolnica”, królewska, posyła ukochanemu pierścienie i tak lubiane przez niego zegarki.

[...] Przeszła zima. Król powrócił do Wilna lecz nie wzywał zony. Można sobie wyobrazić, jaki nowy niepokój powstał w umyśle Barbary. [...] W pierwszych dniach kwietnia pojawił się w Dubinkach goniec królewski z piśmie Augusta, wzywającym Barbarę do natychmiastowego powrotu do Wilna. List nie podawał przyczyn tej nagłej decyzji, król żądał tylko, żeby Barbara przybyła natychmiast, najpóźniej. Dodawał, że „sic astra volunt” (tak chcą gwiazdy, czyli przenośnie losy) i polecał, by przybyła potajemnie, a zatrzymała się w rezydencji Radziwiłłowskiej.

Nasza bohaterka posłusznie wykonała tak mile zresztą dla niej polecenie. [...] Przyjechałszy do stolicy domyśliła się powodów tego nagłego we-

wania. Oto 1 kwietnia 1548 r., po przeszło 40-letnim panowaniu, zszedł ze świata król Polski i najwyższy książę Litwy Zygmunt Stary. Wiadomość o tym przysłała do Wilna 8 kwietnia posłaniec z Krakowa. Wilno okryła żaloba. [...]

[August] ze śmiertelnością oca uzyskał całkowitą samodzielność, pełnię władzy. Choć nawet i bolal nad zgonem rodzica, to wiedział, że z tą chwilą trzema ujął swą sloby z Barbarą, zrealizować swie osobiste życzenia. Nie dziwił tedy fakt, że w kwietniu okazał energię, przejął ster państwa.

Pierwsza jego myśl, pierwsza decyzja dotyczyła jednak Barbary. Był nią właśnie list, który sprowadził ją z Dubinek. Zygmunt August postanowił bowiem teraz otworzyć i uroczyście przedstawić ją jako żonę. [...] Król starannie przygotował i wyreżyserował ogłoszenie swego małżeństwa. 17 kwietnia, we wtorek, zwołał dygnitarzy i panów litewskich do zamku wileńskiego na wielką naradę. Pretekst stanowiło omawianie spraw państwowych w związku z jego wyjazdem dla objęcia tronu w stołecznym Krakowie. Przewodniczył jej August, bacznie czuwając nad przebiegiem i czasem obrad. O godzinie pierwszej po południu otrzymał przesłany obrady i powstawszy z tronu złożył oświadczenie dotyczące swego małżeństwa. Wyjaśnił, iż z pewnych powodów tał swe śluby, obecnie jednak uroczyście ogłasza, że Barbara, wojewodzina trocka, jest jego żoną, obrządkiem chrześcijańskim, w obliczu jej krewnych, oddana w małżeństwo. Poczem zbliżył się do przedsiönika, otwartą się wówczas drzwi, w których ukazała

zł był dzierżawcą wojewody ruskiego o mordobiciu i wycucie z gruntu. Ponieważ, wedle prawa za dzierżawcę odpowiadał jego pan, przeto ks. Adam skazał własnego ojca na 6 tygodni więzy.

Oczywiście nie było mowy o istotnym zapakowaniu do ula zgrzybiałego wojewody, czy nawet o represjach w stosunku do punktualnie płacącego czynsz dzierżawcy — tego byłoby za wiele, lecz szan niesłychany fakt, że trybunał publicznie zganił magnata wystarczająco epatowania kraju. Władza w księciu nie autora takiego efektu — lecz nie tym, że siedział we fraku na krześle marszałkowskim zamiast w todze na nocniku.

Niemcewicz śledził z podziwem wyczyny swego szefa, wkrótce jednak, znużony sesjami trybunału, zaczął się wymykać z nowym przyjaciół — Michałem Brzostowskim, starostą pińskim — do okolicznych dworów. Najweselej było w Swisłoczu u referendarza litewskiego Tyszkiewicza, kompletnego wariata. Zaczynał grubaś przebiegał się co rano w ornat i odprawiał mszę, a wieczorem w suknie kobiece i haftował robotkę. Niemcewicz służył mu do mszy lub udawał, że ośliniony wdziękami chce go zwalczyć. Raz, posródku stawu, Tyszkiewicz wychodził a łódki swego nadwornego spowiednika; kapelan był garbaty i nie umiał pływać — tarzali się wszyscy ze śmiechu. Niemcewicz, że nie tylko tych subtelnych żartów, ale i przedstawień, żywych obrazów był czynnym uczestnikiem — tak zjednal sobie wzięcie nudzącego się referendarza, iż gwalttem chciał go zatrzymać w Swisłoczu. Najpóźniej-

się oczekująca na tę chwilę Barbara. August powitał ją uroczyście i wprowadził do sali weselej rade, by oddała jej część „jako królowej i pani”. Rada oalupiała. Wiele mówiło się o planach królewskich, nawet o sekretnym ślubie, nie były to jednak pewne wiadomości. Dla dygnitarzy litewskich, których większość znała Barbarę od dzieciństwa, wzwanie, by czcili ją jako „królową i panią” było nieco szokujące. Musieli nieco ochłonąć, przyzwyczaić się do sytuacji. Przede wszystkim zaudrościł wyniesienia Radziwiłłom. Wszystko wskazuje, że deklarację królewską przyjęto w pełnym rezerwy milczeniu. [...]

Trzydzieści dni cieszyli się sobą. [...] 30 kwietnia, rano, król Zygmunt August pozegnał żonę udając się w drogę do stołecznego Krakowa. Jechał przejął władzę, objął spuszczając ojcową, zasiadł na tronie Bolesławów, Kazimierzów, Władysławów. Przybywał, by w przyszłości spełnić wielką rolę w rozwoju polskiej kultury, przyczynić się do wprowadzenia tolerancji wyznaniowej, kierować wielkim dziełem unowocześnienia państwa. Wszystko jednak wskazuje, że podczas tej podróży jeszcze nie te sprawy i cele zatrudniały jego myśli, i wola ostatniego Jagiellona. Poddał bowiem rozważając, jak zapewnić ubostwianej kobiecie uznanie w Polsce, jak wprowadzić ją na legendarny Wawel. Bowiem nad ich małżeństwem, nad całą przyszłością Barbary, a nawet Augusta, zbiegały się groźne chmury.

W. L.

niejsze obietnice nie skusiły Niemcewicza — pojechał za Czartoryskim do Wilna.

Poprzednikiem księcia na stołcu marszałkowskim był tu Piłsudski — stary dziwak nie mający innej ambicji jak by na jego obiadach podawano tyjez potraw, co wojówdztw w Polsce i kaada przybrała w odpowiedni mundur. Książę Adam polecił swemu kuchmistrowi, Górlitzowi, szkolonemu w kuchni Augusta III-go, dolożyć staraj, by zakasował wspomnienia piłsudowych obiadów. Kadencja trybunału wypadła znakomicie: dzień w dzień bałe, festyny — zapominano, jak wyglądał człowiek trzęszy.

Przyszła wiadomość z Warszawy, że sędziwy wojewoda ruski, grając w whista wieczorem z najczyszem, odłożył nagle karty sumitując się, iż nie może skończyć partii, gdyż — umiera. W fotelu, posródku salonu, otoczony tłumem gości i domowników, skonał 85-letni wojewoda z grzecnym uśmiechem na ustach. Ręką pełną kart przezełnal nuncjusz [...]

Książę Adam, wzorowy syn calujący zawsze ojca w rękę, nie śmiejący usiąść w jego obecności bez wyraźnego zezwolenia, popadł w tak głęboką depresję, że nawet bose po szję dziewczęta nie mogły go rozzerwać. Karpiński, Skowroński, Zawitowski — sekretarze księcia, Niemcewicz i Orłowski — adiutanci, odwiedzali znaczniejsze persony, donosząc o smutnej nowinie, która znała cale minuse to od trzech dni. Z kolei, zgodnie z etykietą, wszyscy składali księciu kondolencje, iż tak przedwczesnie nie został sierotą.

(cdn.)

mas. 2552/1982/6